



Warszawa d. 12 (24) Lutego 1878.

№ 8

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcyja i Ekspedycyja główna: ulica Czysta № 415 (nowy № 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2:

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Wojna i Pokój.—O moralnej odpowiedzialności. (dokończ).—Siostry Miłosierdzia.—Kresy dziejowe. Szkic A. G. Bema. III. (c. d.).—Kronika Wiedeńska. (dokończenie).—Kary jako środek pedagogiczny.—Kronika Powszechna.—Przegląd Polityczny.—Wiadomości handlowe.—Echa VIII.

WOJNA I POKÓJ.

Położenie obecne Europy niewątpliwie jest bardzo poważnem. Z jednej strony armia Rossyi zajęła kluczowe pozycye Carogrodu, a nota księcia Gorczakowa oświadcza, iż z ukazaniem się floty angielskiej na wodach Bosforu projekt zajęcia Konstantynopola wzięty zostanie pod rozwagę w Petersburgu. Z drugiej strony Anglia zatwierdza ogromną większość głosów kredytu wojenny, a gabinet torysów, poczuwszy pieniądze w kieszeni, daje rozkaz flocie przepłynięcia cieśnin i zarzucenia kotwicy u Złotego Rogu, przed pałacami mahometańskiego Padyszacha.

Sułtan napróżno się broni papierowym protestem przeciwko Anglii, której okręty już stoją w tej chwili przed Konstantynopolem, a każdej godziny możemy otrzymać wiadomości o nadsięgnięciu od strony Czardzki liczniejszych gości rosyjskich, niż orszak, którego się spodziewał Abdul Hamid, zapraszając ks. Mikołaja w odwiedzinę do stolicy pobitej Turcyi. Wojenna czynność w arsenalach angielskich wre przyspieszonym tętnem, zewsząd ściągają się okręta pancerne i przewozowe, a lud angielski śpiewa stare pieśni o wilku i Rule Britannia, wytłukując między zwrotkami szyby w pałacach przywódców opozycyi. W Rosyji nakazano umontowanie na stopę wojenną 44 świeżych batalionów; dziennik urzędowy wylicza przygotowane zapasne siły i ukazuje po za nimi w głębi stojące masy przysposobionych i przysposobić się mogących rekrutów.

Wobec tych faktów generał Ignatiew z Namykem i Serwerem paszami na podstawie przedugodnych punktów piszą traktat między Rosyją i Turcyą, którego najbliższem następstwem będą kolosalne zmiany na Bałkańskim półwyspie i rzucenie się pokonanej Porty w objęcia zwyciężkiego państwa, aby uratować to, co uratowanem być na dziś może. Z Wiednia zaś hr. Andrassy—po uzyskaniu pozwolenia u wszechwładnego ks. Bismarka— wysłała róższkę oliwną z zaproszeniem na konferencye europejskie, któreby uregulowały te kwestye z wojny rosyjsko-tureckiej wynikłe, jakie dotyczą interesów ogólnoeuropejskich i różnych państw po szczególe. Myśl konferen-

cyi znajduje wszędzie miłe przyjęcie, gabinetowa grzeczność w najśrodszych przewija się w wyrażeniach, niemniej jednak stawiane konferencyi horoskopy nie należą wcale do pomyślnych. Gdyby konferencyę brać na seryo, musiałaby się ona zastanowić nad tylu ważnemi a spornemi kwestyami, załatwić tyle sprzecznych i łatwiejszych do rozcięcia niż rozplątania interesów, iż trzeba się zgodzić, że albo wcale się nie zbierze, albo praca jej będzie nader pobieżną i powierzchnową. Analogicznie biorąc, położenie obecne Europy jest nader podobne do tego, w jakim się znajdowała po podpisaniu londyńskiego protokołu—z tą tylko różnicą, że każda z kwestyj spornych już dojrzała, każda nabyła takiej ważności, iż osobno wzięta może być poniekąd słusznie przedmiotem europejskiej wojny, a strony interesowane stoją już z bronią na ramieniu.

Więc wojna europejska?

Rola politycznego proroka jest najnie wdzięczniejszą dla dziennikarza pozycyą—częstokroć jedna depesza zaprzecza długim i pracowitym jego wywodom; zdaje nam się, iż w obecnej chwili mało ludzi w Europie wie na pewno, co dalej nastąpi, jeżeli nawet śmiertelnik taki się znajduje. Niemniej przecież pytanie co do europejskiej wojny następuje się umysłowi każdego i rozstrzygane bywa nader rozmaicie. Ażeby pomódz w żywych, jakie ten przedmiot obudza, dyskusyach naszym czytelnikom, zestawimy kilkanaście faktów, o których nie należy zapominać przy rozważaniu kwestyi przyszłego pokoju i wojny.

Najpierwszą czynną stroną w sprawie wschodniej jest Anglia; sfera jej interesów została ściśle oznaczoną aktem neutralności, wydanym na początku ubiegłej wojny.—Obrona najbliższej drogi do Indyj Wschodnich góruje nad wszystkim, a za taką obronę uważa Anglia niezależność Konstantynopola, cieśnin Dardanelskich, kanału Suezkiego i Egiptu. Oprócz tego idzie Anglii o handel w Małej Azyi i o nieutrącenie wpływu na jedno z najważniejszych państw mahometańskich, oraz o wykazanie dbałości o to państwo, czego nie może zaniedbywać, posiadając sama miliony mahometańskich poddanych w Cesarstwie Indyjskiem, poddanych, którzy w pewnych okolicznościach, zniechęceni, mogliby zadać śmiertelny cios panowaniu Albionu w Azyi. Zdaje się, że niektórych tych punktów Anglia bronić bę-

dzie orężem—gdyby były istotnie zagrożone; cała trudność leży w tem, gdzie, to jest w jakim miejscu, to zagrożenie Anglia widzi?

Że go nie widzi w zmianie *status quo* na półwyspie Bałkańskim, dowodzi ta okoliczność, iż dopuściła bez wmięszania się na początku do wojny, kiedy jeszcze Turcyja posiadała swe zasoby i siły nietknięte. Słusznie zaznaczył lord Derby w swej ostatniej mowie, iż byłoby błędem niedarowanym lub nawet szaleństwem, zostawić Turcyę własnemu jej losowi, a następnie rozpocząć wojnę. Więc też nie o *status quo* idzie; politycy angielscy zanadto są realni i rozumni, aby nie wiedzieli, iż skutki wojny ubiegłej pociągną za sobą pewne następstwa, które zmienią radykalnie stosunki tureckie; na te zmiany Anglia musi przystać i przystanie, skoro nie wydobyla oręża w kwietniu zeszłego roku. Ale po cóż się więc teraz zbroi? Po to, aby zabezpieczyć się od zaczepki właściwych swoich interesów, i po to, aby otrzymać *maximum* wpływu przy układach, regulujących państwo Padyszacha. Że Anglia zaczepnej wojny prowadzić nie chce, ani może bez sprzymierzeńców, zdaje się to aż nadto być jasnem; lecz ze pragnie imponować pozorami siły, tego jej za złe brać trudno. Ztąd jej ostentacyjne rozkazy do floty, aby siłą utorowała sobie przejście, gdzie oporu nikt nie stawiał, ztąd czynność w arsenalach, zwoływanie okrętów z innych oddalonych mórz, obok zaproszenia mocarstw europejskich do przyjęcia współdziałania w manifestacyi własnej. O zaczepną wojnę, o nic takiego, coby radykalnie Turcyi pomogło—powtarzamy—na teraz nie chodzi, lecz Anglii idzie o *obronę* i o *odpór*, gdy rzeczywiście jej interesa zagrożone zostaną. Taki wypadek mógłby Anglię zaskoczyć—a byłaby dla niej bieda, gdyby ją zaskoczył niespodzianie. Anglia, posiadająca dokładną świadomość sytuacji, wiedziała dobrze, iż Turcyja, zostawiona bez pomocy Europy, rzucić się musi w objęcia Rossyi, a przymierze tych dwóch państw zadać może skuteczne, nieobliczone szkody interesom angielskim. Wielka Brytania też przeciwko temu bronić się będzie przymierzu, a jej prawdopodobne działanie, na teraz, zmierza do zneutralizowania przymierza rosyjsko-tureckiego; gdyby zaś to okazało się niemożliwem, Anglia pomyśli o sobie, chociażby kosztem Turcyi i zabierze to, co zabrać bę-

dzie potrzebowała, a głównie Egipt. Że takie jest, a nie inne działanie Anglii, dowodzić się zdaje wysunięcie greckich pretensyj, świeże odezwania się ministrów w parlamencie o potrzebie zabezpieczenia losu chrześcian w Turcyi, którym się należy lepsza administracja, oraz, co najważniejsza, o konieczności otwarcia Dardanelów dla handlu świata całego i przeszkodzeniu temu, aby cieśniny zamknięto przez jedno mocarstwo, a przytem o usunięciu wszelkiej groźby kanałowi Suezkiemu. Co to znaczy? Jeżeli oskubiemy kwestyę z frazeologii, Anglii idzie o otwarcie cieśnin dla swej potężnej floty. Czy takie żądanie mogą przyjąć Rossya i Turcyja nawet? Nie, Rossya nie ma nic co do statków handlowych; ale wolność przepływania statków wojennych przez Dardanele jest dla niej gorszą, niż obecne pozostawanie cieśnin w rękach Turcyi. Dla Rossyi korzystnym być może tylko ten warunek, któryby jej wraz z Turcyją, jako dwóm mocarstwom okalającym morze Czarne, oddawał klucze nad cieśninami. Za ten przywilej Rossya oddałaby wielkie przysługi Turcyi. W Stambule i Londynie o tem wiedzą i tutaj się toczy gra; Anglia żąda *maximum*, otwarcia cieśnin, chcąc otrzymać *minimum*, to jest powrotu do *status quo* nad Bosforem. Turcyja chce ofiarować Rossyi w Dardanelach *maximum*, aby mogła dać *minimum* nad Dunajem.

Tak nam się przedstawia spór między Rossyją a Anglią nad morzem południowym; jest to zaród obfitych w wypadki spraw, które wplątują po kolei wszystkie państwa, leżące nad Śródziemnym morzem, w działania nieobliczonej dla świata doniosłości.

Niemniej obfita w następstwa przedstawia się kwestya wschodnia, skoro ją rozpatrzmy w stosunku do drugiego czynnika europejskiego, to jest do Austrii. Udział Austrii jest tak ważnym w sprawie półwyspu Bałkańskiego, iż poświęciliśmy mu już niejedną objaśniającą artykuł i dla tego też mamy podstawę do sumaryczniejszego traktowania tego zagadnienia w chwili obecnej. Wiadomo już dobrze, iż sytuacja, jaką stwarzają warunki przedwstępne pokoju na półwyspie, jest i będzie dla Austrii bardzo ciężką. Te małe państwa słowiańskie, tkwiące połową swej jednoplemiennej ludności w granicach austriackich, zbyt słabe, aby się rzuciły własną polityką, będą dla niej ciąglą groźbą i fermentem w jej wewnętrz-

nych interesach, zostających pod hegemonią niemiecko-madziarską. Pod tem działaniem musi się z czasem rozprzecznić państwo Hauburgów, niepodobna bowiem uwierzyć, aby się mogło i umiało przetrzymać w federacyę ludów słowiańsko-niemiecko-madziarskich. Oba ostatnie pierwiastki, a przynajmniej środkowy, grawitują gdzie indziej, a jak tylko dynastia Hauburgska dała by naprawdę hasło słowiańskie, Niemcy, straciwszy stanowisko zwierzchnie, zwrócą się do swej wielkiej ojczyzny o pomoc i pierwsi Austryę rozbiją. To jasne już dla wszystkich. Niewątpliwie Austryja będzie się starała lawirować wśród trudności i przeszkód, będzie wyteżała wszelkie siły, aby pozyskać wpływ na drobne państwa półwyspu Bałkańskiego, aby skorzystać z ich słabości, koniecznych pretensyj i współzawodnictwa. Lecz działaniem takie pobudzi tem bardziej jej współzawodniczkę do czynności w przeciwnym kierunku, które to działanie ma grunt tem ułatwiony, iż Serbowie, Rumunowie, Słowienicy i t. d. mają coś w Austrii do wzięcia. Austryja o tem wie, ale przytrzymywana przez potężne Niemcy w trójcesarskiem przymierzu nie jest w mocy temu przeszkodzić. Nie mogąc temu przeszkodzić z gruntu—czego najlepszym dowodem jest, że dozwoliła pobić Turcyę, zając fortece bułgarskie—musi się starać, aby uratować interesa podrzędne i tym sposobem choć godność wielkiego mocarstwa ocalić. Interesa te są następujące: neutralizacja Dunaju, kwestya Dardanelów, skrócenie, ile można, okupacji prowincyj słowiańskich przez Rossyę. Z tych punktów—które zapewne będą stanowiły treść austriacką na konferencyi europejskiej—pierwszy jest w zasadzie najłatwiejszy, w przeprowadzeniu bardzo trudny. Rossya żąda Bessarabii, a żądanie jej właśnie utrudnia sprawę neutralizacji. W kwestyi Dardaneli będzie się trzymała Anglii. Nareszcie co do okupacji Bułgaryi twierdzą w kołach wiedeńskich, iż gdyby się ona zbyt długo przeciągała, Austryja zajmie Bośnię i Herzogowinę, a Grecya Tessalię i Macedonię. Jeżeli sprawy takie obrót wezmą, będzie to znak, dla czego Austryja tak długo jest cierpliwą i jaką za tę cierpliwość otrzymała nagrodę.

Jeżeli teraz zsumujemy interesa angielskie i austriackie—i interesa te wraz z położeniem obu tych mocarstw porównamy z położeniem Rossyi—musimy przyjść

do wniosku, iż nie podobna, aby one wywołały europejską wojnę, mianowicie w tej chwili. Prędzej interesom wszystkich państw odpowie tymczasowy pokój, który w rzeczywistości będzie tylko długim rozejmem. Czy taki rozejm jest dla świata korzystny? Naturalnie nikt nie wątpi o przeczącej odpowiedzi. Minister Northcote, odzywając się parę dni temu w parlamencie londyńskim, rzekł te szczerze słowa: iż Anglia dąży nie tylko do pokoju, ale do pokoju trwałego, bo czasy ostatnie wszystkim już obrzydły. Prawda, lecz aby taki pokój trwały i produkcyjny osiągnąć, Europa potrzebuje innych warunków niż te, jakie jej okoliczności podyktowały. O ile więc przewidzieć można z zapasem wiadomości znanych z dzienników, w tej chwili możemy uniknąć wojny europejskiej—skoro nie wybuchła ona w kwietniu roku zeszłego; ale i pokój sprawy wschodniej nie załatwi, tylko ją na czas jakiś odroczy.

O moralnej odpowiedzialności.

(Dokończenie)

Posłuchajmy naprzód wniosków deterministy, nielekającego się ich bezwzględnej ostateczności: „Jak jednostka lub całe ludzkie społeczeństwo zabezpiecza się przeciw zjawiskom natury, których następstwa są dla niego szkodliwe, podobnie zabezpiecza się przeciw indywidualom, których czyny jego interesa obrażają. Opatrujemy nasze domy konduktorami przeciw elektrycznym uderzeniom atmosfery, sypimy groble, ażeby niszczącym wylewom zapobiedz, więc stanowimy prawa, które ochraniają to dobro, jakiego społeczeństwo do istnienia swego potrzebuje. Prawa są rozumem kraju—powiada Balzac; są one—dodajmy—także wyrazem tych potrzeb w materialnym i moralnym względzie, od których nieścieśnionego posiadania istnienie społeczeństwa zależy. Zadaniem ustaw jest utrzymanie porządku i zachowanie praw każdego; ich celem zapobieganie wykroczeniom, któreby organizmowi społecznemu zaszkodzić mogły. Ponieważ człowiek działa według pobudek, zatem społeczeństwo winno w swoich ustawach stworzyć tak silne pobudki, ażeby one

ECHA WARSZAWSKIE.

VIII.

Niby woda po marmurze, tak spłynęły zapewne po umysłach czytelników liczne artykuły o reformie miejskiej, któremi spełnione były ostatnimi czasy szpalty pism codziennych. Znajdujemy to bardzo naturalnem. Jest to bowiem właściwością naszej organizacji umysłowej, tak troskliwie, mówiąc nawiasowo, hodowanej przez nasze dziennikarstwo, że tylko fakta nam pokrewne zachowujemy dłużej w pamięci. Przeciętny czytelnik łatwiej strawi politykę muncypalności pacanowskiej, niż przegląd z działalności misyonarzy chrześciańskich w Chinach. Holdując widocznie zasadzie nieprzeciążania pamięci, nasze higieniczne dzienniki wolą obznajamiać czytelników ztem co gdzie istnieje, a u nas istnieć może, niż z tem, co już istnieje i samo pod pióro się nasuwa. Gdyż właśnie dla powyższych powodów, zanim to, co być może—będzie, już czytelnik nadstawił ponownie uszy wiedząc z całej kwestyi tyle—że już wszystko wiedzieć powinien. Wilk przeto syty i owca cała. Zwyczajni śmiertelnicy są zawsze informowani

o... przyszłości, a piszący o całej głowie przewyższają czytelników, zachowując z tego co pisali tyle, ile potrzeba, aby błyszczyć wobec niewiedomości drugich. Niestety—rzeczywistość często płata figle naszym prorokom. Żaden bowiem projekt nie zawiera jeszcze koniecznych warunków jego urzeczywistnienia w ogólności i w tej a nie w innej formie w szczególności. Dzieje się to przeważnie w sferze reform administracyjnych, która zależy w większej ilości wypadków od klimatycznych warunków. To co jest dobrem dla Saratowa, może nie być w zupełności odpowiedniem dla Sulejowa. I dla tych to powodów, łaskawi czytelnicy, ponieważ nam nieprawowiernym nie dano wyrokować o przyszłości, pozwolicie, że odstąpimy od polityki naszych kolegów po piórze i zamiast wybudować wcześniej gmachy na... piasku, damy wam o wiele później (tak przynajmniej przypuszczamy)—bo równocześnie z ogłoszeniem ustawy o wprowadzeniu u nas reformy organizacji miejskiej—szereg artykułów zastosowanych do warunków i potrzeb... miejscowych. Będzie to może wykroczeniem przeciw jednemu z paragrafów dziennikarskiego zwyczaju, ale w każdym razie bardziej zgodne z waszym interesem.

Czytamy w numerze 41-ym Echa:

„Ministryum oświaty wydało ostatniemi czasy do wszystkich okręgów naukowych rozporządzenie, ażeby w szkołach miejskich podług Postanowienia z dnia 31 maja 1872 r. (zastępujące szkoły powiatowe), wykład nauki religii izraelskiej i w ogóle wszelkich innych, oprócz prawosławnej, nie leżał w obowiązkach szkoły, lecz w obowiązku opiekunów uczniów i choć takowa ma się odbywać w murach szkoły, lecz dopiero w godzinach po skończeniu lekcyj zwykłych w języku rossyjskim, a udzieloną ma być tylko tym, którzy sobie będą życzyli”.

My wiadomości tej dokładnie nie rozumiemy.

Przekonani, że urodzaj na niedorzeczne pomysły w sprawie jubileuszu Kraszewskiego nie będzie zbyt obfity, wstrzymywaliśmy się aż dotąd z zabraniem głosu w tym przedmiocie. Gdy jednakże ciągle rodzą się coraz nowe i coraz naiwniejsze projekta, uważamy sobie za obowiązek szacunku względem jubilate zbytnią gorliwość o jego dobro nieco ochłodzić. Jakkolwiek dwa główne sposoby uczczenia zasłużonego pisarza—wydanie niektórych jego dzieł i poświęconej mu książki zbiorowej—mogą mieć swoje słabe strony, nie przestają jednak być poważne i właściwe. Ale—pytamy—co znaczą propozycje, ażeby czytelnicy, prowincjonalne

go nigdy nie odstępowały, jego z natury konieczne myślenie i działanie, w wypadkach przeciwnych ogólnemu dobru, w inną stronę zwracały i zmieniały. Prawa są odpowiednią ilością motywów, zmierzonych do oddziaływania na człowieka. I dla tego właśnie, że ludzie ulegają w swej woli motywom, są za czyny swoje odpowiedzialni. Wszakże każdy przez całe życie pokutuje za cielesne ułomności, które z sobą na świat przyniósł, dźwiga skutki wrażenia, jakie zewnętrznością swoją na innych wywiera. Odpowiadamy za rzeczy, które po uważnem zbadaniu człowiek rozumny musi uznać za całkiem konieczne następstwa nieobliczalnych przyczyn. Gdziekolwiek coś szkodzi w dzieła, tam my, chociażbyśmy do tego pozostawali w najodleglejszym stosunku, jesteśmy odpowiedzialni. Ubogi duchem ma wszelką słusność skarżyć się na macosze postąpienie z nim natury; głupota jest zjawiskiem przyrodzonym, a jednakże dotknięty nią jest odpowiedzialny, jeżeli w spełnianiu obowiązków swego powołania nie okazał więcej rozumu, niż go posiadał. Podobnie karany jest przestępca. Tak więc człowiek za swoje myśli i czyny, za sposób i rodzaj swego istnienia jest przed społeczeństwem odpowiedzialny, czy wolną wolę posiada, czy też nie. Obok przekonania o jej konieczności, ma on zarazem świadomość tego, że jest odpowiedzialny. Przed sędzią staje jako jednostka, której czyny wywołała konieczność, ale sędzia z obiektywnego stanowiska ogółu przyjąć musi, że motyw, który oskarżonego popchnął do upadku, na innym wywarłby przeciwny, niepodlegający karze skutek, kara więc tu dotyczy mniej samego czynu, ile raczej charakteru przestępcy¹⁾. Takie jest typowe rozumowanie deterministów.

Rozumowanie to jest w znacznej części słusne, ale także i w kilku punktach niedostateczne. Rozpatrzmy je z obu stron. obrońcy niepodległej woli widzą w niej wyłączną cechę organizacji ludzkiej, w przeciwstawieniu do zwierzęcej. Zachodzi więc pytanie: jeżeli odpowiedzialność za czyny opiera się na wolnej woli, a kara — na odpowiedzialności, za co karzemy te stworzenia, które wolnej woli nie posiadają, a tem sa-

¹⁾ J. C. Fischer, *Die Freiheit des menschl. Willens*, Leipzig 1871, str. 253 i n.

trwałem źródłem zapomóg lub stypendyów, pod jego imieniem ufundowanych. Przynajmniej my tak rozumiemy znaczenie i cel dokonywanej się obecnie składki, którą kraj w ręce wielkiego swego syna na jego potrzeby i rachunek wdzięczności potomnych zaoferuje.

A propos Kraszewskiego. Już dawniej zwracaliśmy uwagę czytelników naszych na jego *Listy do nieznanego*, pomieszczone w *Kłosach*, gdzie sędziwy autor z zapalem, za wszystkich naszą karłą młodość, staje się apostołem prawd swojego wieku. „Dawniej — pisze on — pojmowano ludzkość jako gromadkę dzieci, dozorowaną z wysoko, na którą różga, czy piorun spadały z góry, gdy się rozswawoliła; dziś rozumiemy ją jako obdarowaną pewnymi władzami i wolą i zostawioną samą sobie... My widzimy w złem samem zaród i nasienie jego kary. Pod wpływem tych pojęć musiała się i powieść odmienić. Człowiek występuje w niej samoistnie, a interwencja opatrznosci, jeżeli nie zupełnie usunięta, to w żelaznej pęta zmieniona została”. W liście tym, mieszczącym wiele prawd, w żywym słowie wypowiedzianych, rozwinął Kraszewski wyborną definicyę powieści.

mem odpowiedzialni nie są? Dla czego np. bijemy konie i woły lub tępimy wilki? Zauważyć ktoś może, iż karanie zwierząt, bądź co bądź obdarzonych pewną umysłowością, staje się dla nich pobudką do pożądanego przez nas postępowania; ale jakież usprawiedliwienie mamy stosunkowi naszemu do istot żadną, według naszego przekonania, umysłowością nieobdarzonych? Przy alei ogrodu rośnie klon, którego jedna gałąź na ścieżkę się wysunęła i przechodniom odzież rozdziera; my gałąź tę obcinamy, to jest karzemy drzewo, które wcale za wyrządzone szkody odpowiedzialnem nie jest, gdyż wolnej woli nie posiada. Na drodze leży kamień, o który wozy ciągle się potracają; wykopujemy kamień i odrzucamy go na miejsce, na którym nikomu szkodliwym być nie może. Przez łękę płynie strumień, który w czasie przypływów ją zalewa; przerynamy rowy, które, rozprowadzając nadmierną wodę, chronią od jej zniszczenia. We wszystkich tych wypadkach karzemy żywioły, którym nie przypisujemy wolnej woli, z czego wynika, że ona nie jest koniecznym warunkiem odpowiedzialności. Inaczej, trzymając się zasady konsekwentnie, doszlibyśmy tam, gdziebyśmy się najmniej dojsz spodziewali. Bo jeżeli chłop ma prawo powiedzieć: biję konia, który mi wlaź w zboże, bo jest organizacją ode mnie niższy, to ma prawo powiedzieć pan: biję podwójnie chłopca, który mi wlaź w zboże, bo on nie tylko organizacją ode mnie niższy, ale nadto ma wolną wolę. Cytowany wyżej autor robi słuszną uwagę, że jakkolwiek przyrodzonych ułomności człowieka nie uważamy jako zależne od jego woli, niemniej on jest za nie odpowiedzialny i karany. Wystaw sobie czytelniku, że przyniosłeś z sobą na świat jakieś odrażające kalectwo; każdy przyzna, żeś temu nie winien, a jednakże wszyscy swoim wstrętem karać cię za nie będą. Towarzysze będą od ciebie stronili, kobieta cię nie poślubi, żadne zebranie nie zniesie, żadna instytucja na pracownika nie przyjmie, słowem możesz być „pozbawionym wszelkich praw” przez społeczeństwo, któremu nieczem więcej nie zwiniesz, tylko tem, żeś był dla niego zewnętrznie wstrętnym. A nie zapomnij przytem, że tak srogo karać cię będą nie sami determiniści, ale ci, którzy przepisują karę tylko dla złych objawów wolnej woli. Zachodzi nawet wielka wątpliwość, czy ludzie tacy z większą odrazą pa-

trzą na zbrodniarza, niż kalekę, na potworność moralną, niż fizyczną?

Powtarzamy więc, że nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie, nie tylko w rozumowaniu deterministów, ale i w postępowaniu ich przeciwników wolność woli nie jest koniecznym warunkiem moralnej odpowiedzialności i kary. Należy teraz określić, co za warunek taki uważanem być może? Z faktów wywnioskować łatwo. Jest nim obraza uczuć lub zasad panujących w społecznej grupie. W każdym społeczeństwie ustala się pewna norma do oceniania wszelkiego rodzaju objawów, od której odstępstwa wywołują w niem reakcyę. Jeżeli w socyalnej grupie białych znajdzie się jeden lub kilku murzynów, to ponieważ ich widok pozostaje w sprzeczności z jej normą zewnętrznych cech człowieka, więc osobniki te muszą sprawiać nieprzyjemne wrażenie i niejako podlegać karze za swą odmienność. Jeżeli w narodzie, którego normalny typ kobiecy nie posiada z tyłu narodził Hottentotek, zjawi się kobieta ze steatopygią, zbudzi powszechne uczucie odrazy, które dla niej będzie karą. Podobnie więc, jeżeli wśród ludzi zdrowych wystąpi kaleka, dozna niewątpliwie od nich co najmniej bezwiednego i mimowolnego prześladowania. Przenieśmy tę logikę rzeczy na inne pole, otrzymamy analogiczne rezultaty. Gdyby między nami osiedlił się Turek z licznym haremem, lub Botokud, trudniący się grabieżą, obaj, mimo zgody z obyczajami własnych grup, obrażaliby nasze uczucia i przekonania. Ich bowiem sposób życia byłby niezgodny z normą naszego i *eo ipso* zasługujący na potępienie. Podobnie, jeżeli w społeczeństwie, którego większość nie kradnie i nie zabija, którego więc warunkami pożądanego istnienia są skierowane przeciw czynom takim zakazy, ktoś ukradnie lub zabije, musi uleść karze. A musi, bez względu na to, czy działa z wolnej, czy niewolnej woli. Jeżeli z wolnej, to słusność kary jest widoczna, jeżeli z niewolnej — łatwo usprawiedliwić się daje. Jak niszczyliśmy działanie gromów za pomocą elektrycznych konduktorów, obcinamy przeszkadzające nam gałęzie, odwracamy wlewające strumienie, tępimy szkodliwe zwierzęta, chociaż w żadnym z tych wypadków nie uznajemy wpływów wolnej woli, tak samo obezwładniamy lub niszczyliśmy człowieka, którego czyny, wzięte jako ogólna norma, doprowadziłyby społeczeństwo do

ściło w obieg początek dzieła M. Carrière'a *Sztuka i literatura w XVIII i XIX w.* W zeszycie tym mieszczą się dzieje geniuszu Anglii i Francji zeszłego stulecia. Mimo słabej filozoficznej i historyczofizycznej podstawy, dzieło Carrière'a zawiera w sobie wiele ciekawych i pięknie skreślonych obrazów swego przedmiotu. Że w jego przekładzie dopełniono wiele „opuszczeń”, to w wydawnictwach p. Glücksberga nikogo dziwić nie powinno. Kiedyż, kiedyż te nieszczęsne „opuszczenia” przestaną być dla nas potrzebne!

Przystawia Salomona, przełożone i objaśnione przez p. Izaaka Kramstücka (Warszawa 1878) powitać należy z uznaniem. Zasługuje bowiem na nie autor-izraelita za chęć usłużenia polskiej literaturze tłumaczeniem Biblii sumiennem i niezależnem od wszelkich bramińskich „potwierdzeń”. — Wszystkie trudniejsze do zrozumienia wiersze opatrzył p. I. komentarzami. Uczył się moralności z tej książki czytelnicy nasi nie będą, bo to podręcznik za stary, ale jako źródło, z którego częściowo nasze pojęcia etyczne wypłynęły, poznać ją warto.

Od Administratora *Spółki Zakładu leczniczego w Natęczowie* odebraliśmy list następujący:

Wydawnictwo Michała Glücksberga pu-

rozkładu. Dla czego w naturze człowiek ma tę władzę nad innymi stworzeniami—odpowiedź prosta: dla tego, że ma nad nimi przewagę; dla czego ogół ma tę władzę nad jednostką—odpowiedź również prosta: dla tego, że również ma nad nią przewagę. Gdyby wilk mógł zapanować nad człowiekiem, z pewnością pod groźbą niemoralności i kary nie pozwoliłby mu sobie szkodzić; podobnie gdyby każda niegodząca się ze swem społeczeństwem jednostka mogła je pokonać, największa jej samowola byłaby dla niego prawem. Zresztą wypadki takie nie są rozprawieniem hipotezy, lecz dowodami rzeczywistości. Murzyn czcić będzie to samo drzewo, które ściąć zamierzał, jeśli ono w jego oczach nadziejszą potęgę zdradzi. Podobnie każdy rozbójnik w krajach mniej ucywilizowanych, jeśli zdoła wydobyć się z więzienia i gwałtem ująć w rękę ster społecznej grupy, może bezkarnie popełniać wszystkie te czyny, za któreby go ona niewątpliwie straciła.

Sądę, iż krótki ten wywód wystarczył dla przekonania czytelnika, że ze stanowiska determinizmu, który dziś jest zdecydowaną prawdą nauki, na prawach woli odpowiedzialność moralna oprzeć się nie da; że podstawy dla niej szukać trzeba w racyach interesu społecznego. Każdy więc czyn zły pociąga za sobą (według tej teorii) karę nie dla tego, że mógłby być dobrym, ale dla tego, że jest złym. Innymi słowy, przestępca ulega karze nie dla tego, że mając wolny wybór między złem a dobrem, wybrał złe, ale dla tego, że złe wybrać musiał. Taka jest słuszność kary w zasadzie. Ażeby ona była słuszną w stopniu, winna zadosyćuczynić dwu warunkom: działać postrachem przykładu i zabezpieczać ogół. To jest, kara winna być skuteczną pobudką do unikania złych czynów i nie przekraczać potrzeby zapobiegania im. Ten ostatni wzgląd wymaga szczegółowszego rozjaśnienia. Pomijamy konieczność ścisłej oceny, czy pewien objaw, prawem lub obyczajem zakazany, jest rzeczywiście dla dobra ogólnego szkodliwy (np. jednostkowa chęć zmiany istniejących form życia i myśli), zauważyc tu trzeba, że w logice determinizmu, który jest najpobliższą teorią moralną i nie uznaje poczytalności, nie ma właściwie słusznej kary, lecz tylko słuszną uniemożliwienie złych czynów. Ponieważ wola w każdym stanie umysłowości ludzkiej, zarówno w sta-

nie choroby jak zdrowia, jest zależną, więc tylko obezwładnianą a nie karaną być winna. Cokolwiek ktoś, według tego poglądu, zrobił, zrobić musiał, więc dbać należy o to, ażeby źle robić nie mógł, a wcale nie o to, żeby za występki cierpiał. Jedynie tylko potrzeba odstraszenia przykładem usprawiedliwia wobec determinizmu karę, jako odwet i zemstę. Z logiki więc jego zasady wynika, że gdyby nie wzgląd na potrzebę terroryzowania złych instynktów przykładem, każdy zbrodniarz mógłby być uniewinniony, gdyby przedstawił dostatecznie przekonujący dowód, że przez całe życie swoje po osądzonym czynie żadnej zbrodni nie popełni. Ponieważ zaś owej potrzeby ominąć nie podobna, a taki dowód jest niemożliwy, więc przestępca zasługuje według determinizmu na karę.

Oto jest w krótkim zarysie naukowe uzasadnienie moralnej odpowiedzialności. Od powiedzialność więc ta, bez przypuszczenia wolnej woli i związanej z nią poczytalności, jest konieczną zależnością człowieka od warunków, w których się objawia konieczność jego woli.

A. S.

SIOSTRY MIŁOSIĘDZIA.

Nie ma może dobroczynnej instytucji, któraby posiadała większą w społeczeństwie naszym sympatyę, jak stowarzyszenie Sióstr Miłosierdzia. Sympatya ta jest w zasadzie zupełnie słuszną. Bo cóż innego należeć się może istotom, które zamiast, zwyczajem swej kasty, wieść próżniaczy żywot w klasztorze kosztem społecznej ofiary, czuwają nad nędzą i cierpieniem? Czemże innym, jeśli nie szacunkiem, odplacić winniśmy poświęceniu, które niezmiernie sposobności dla siebie wyszukuje? Siostry więc Miłosierdzia zasługiwałyby niewątpliwie na najwyższe uznanie, gdyby środkami swoimi wielkości zadania podołać mogły i błędnym kierunkiem swej działalności go nie krzywiły. Na nieszczęście instytucja ta, która w innych krajach, nie tracąc swego religijnego charakteru, rozwinęła się odpowiednio potrzebom czasu, u nas pozostała na anachronicznym stopniu i skutkiem tego zwolna traci swe rzeczywiście dobroczynne wpływy. Zbyt, jak na teraz, ascetycz-

na natura stowarzyszenia, wyłączająca konieczną tolerancję i konieczne rozwinięcie umysłowe, nie pozwala naszym szarytkom spełniać obowiązków społecznych, a dbać może tylko o religijne. Dzięki im, nasze szpitale są dziś zupełnymi klasztorami, w których Siostry Miłosierdzia mało mają czasu na pracę, gdyż albo się modlą, albo nawracają chorych. Zamiast grać przy ich łóżku rolę opiekunek, one grają rolę misjonarek. Niejeden więc umysł, z natury warty i cierpieniami osłabiony, ulega temu silnemu naporowi bigoteryi i wychodzi ze szpitala zdrow fizycznie, ale chory duchowo. Nie zapomnijmy przytem, że wypadek taki nie jest krańcem szkodliwości ich pietyzmu. Często bowiem się zdarza, że religijna żarliwość, straszaka chorych mniemanem zbliżaniem się śmierci, staje się przyczyną wielu niebezpieczeństw ich życia, a nawet nagłego skonu. Łatwo pojąć, że gdy szarytka przekonywać zaczęła o potrzebie przedśmiernej spowiedzi, odejmię choremu najslusniejszą nadzieję wyzdrowienia i moralnem pogębieniem co najmniej pogorszy stan jego zdrowia, jeśli go do grobu nie wpędzi. To też zdarza się nieraz, że zdrowi świadkowie tej tortury, uniesieni zgrozą, a może i obawą, ażeby sami podobnemu losowi nie ulegli, bardzo energicznie występują w obronie ofiary fanatyzmu i dają pouczającą przestroję jego apostołom. Przed kilkunastu laty jeden z młodych pacjentów, widząc obok siebie taką bigoteryjną operację, dokonywaną na jego koledze, zerwał się z łóżka i byłby się niewątpliwie dopuścił czynnej obrazy, gdyby szpitalne misyonerstwo wczas nie pierzchno. Starcia podobne zdarzać się będą póty, póki dewocya nie przestanie w szpitalach wyzywać wrażliwego na jej nadużycia sumienia.

Kto wie, czy nie lepszem od takiej troskliwości sióstr miłosierdzia jest zaniedbywanie przez nie swych obowiązków na korzyść ascezy. Zajęta kaplicą, konferencyami i rekolekcyami szarytka nie ma czasu dopilnować chorego i udzielić potrzebnych postrzeżeń i wskazówek lekarzowi. Wreszcie, powiedzmy prawdę, do żadnej umiejętnej obserwacji nie jest ona zdolną. Całe jej przygotowanie nie jest, jak zagranicą, specjalnem wykształceniem, ale dewocką dressurą, zabijającą samodzielność, naginającą do posłuszeństwa i pokory, wreszcie wyrabiającą zaciekły fanatyzm. „Ztąd po-

„Szanowny Panie Redaktorze. W Nr. 38 *Echa* podana została wiadomość o sformowaniu się spółki na celu eksploatacji źródeł żelazistych, znajdujących się w Nałęczowie, pod Lublinem. Wiadomość ta, zkądną dość dokładną, czyni ujmę naszej znajomości rzeczy krajowych — bo woda Nałęczowska wcale się nie różni zawartością żelaza wodzie Spa, a tembardziej nie jest od niej silniejszą, jak *Echo* twierdzi. W interesie więc prawdy najuprzejmiej proszę Redakcyę o sprostowanie powyższego błędu przez udzielenie miejsca w Waszem piśmie obecnemu objaśnieniu, które postaram się uczynić jak najtreściwszem. Profesor chemii i farmacji S. Celiński, który analizował wodę Nałęczowską w 1817 roku, odnalazł w 16 uncjach wody części składowych stałych 7,45 gr. i niedokwasu żelaza 1,58 gr. Zważywszy jednak na niedokładność robót chemicznych, wykonanych przed sześćdziesięciu laty, nie mogliśmy na tej analizie polegać; dla tego w przeszłym 1877 r. wykonane zostały trzy rozbiory wody Nałęczowskiej przez różne osoby, dla tem pewniejszego określenia jak części składowych stałych, tak też żelaza w roztworze znajdującego się, i oto rezultaty tych poszukiwań co do żelaza: W wodzie, zaczerpniętej ze źródła w kwietniu, t. j. podczas wiosennych roztopów, p. Milicer w Warszawie odkrył w litrze Nałęczow-

skiej wody żelaza metalicznego 0,022 grama; my zaś, robiąc próbę w październiku przy samem źródle, w porze dość suchej, oznaczyliśmy ilość metalicznego żelaza w litrze wody na 0,025 grm.; nakoniec też Nałęczowska woda, zaczerpnięta również na wiosnę, przy analizie, wykonanej w Petersburgu w pracowni W. Matisena, okazała w swoim składzie w formie węglanu niedokwasu 0,034 grm. Tym sposobem wszystkie trzy próby wzajemnie się potwierdziły, dowodząc, że woda Nałęczowska ma istotnie dosyć donośną zawartość żelaza, prztem w formie najbardziej się nadającej do lekarskiego użycia, mianowicie w formie dwuwęglanu, jak woda Spa, Szwabach, Pymont, Krynica i t. d. Ażeby jednak dać miarę porównania z wodą Spa, przytoczymy tu, że według analizy Struwego jedno z mocniejszych źródeł, mianowicie Puhon, zawiera w litrze wody węglanu niedokwasu żelaza 0,048 grm. Porównując tu ilość z ilością węglanu, obliczoną przez p. Matisena w wodzie Nałęczowskiej, otrzymamy skalę porównania źródła Puhon w Spa do źródła Celińskiego w Nałęczowie, jak 48 do 34, czyli że woda Spa więcej niż na jedną czwartą jest obfitszą w żelazo. Oto jest rzeczywiste położenie rzeczy. Przesada może tylko zaszkodzić sprawie, która powinna opierać się na danych poważnych i ścisłych;

lekkie potrącenie przedmiotu przez niewczesnych reporterów może na ogół nasz lekarski, z racyi nieprawdopodobieństwa, dość niepoehlebne zrobić wrażenie, a resztę publiczności nawet w błąd wprowadzić. Przeciwno innym szczegółom, podanym przez *Echo*, nie mam nic do odpowiedzi.

Proszę przyjąć etc. Sługa J. Nowicki.

„Szanowna Redakcyo! W imię bezstronności upraszam Sz. Redakcyę o zamieszczenie w szpaltach swego pisma kilka słów odpowiedzi na zarzuty, postawione mi, a raczej memu elementarzowi p. t. *Stopniowana droga do książki* w Nr. 5 Przeglądu.

Zarzutów tych Sz. Recenzent sformułował trzy, a mianowicie: 1^o że w mym elementarzu znajdują się zdania, zawierające dla kilkoletniego umysłu pojęcia ciemne, jak np. „Anglia zawarła traktat handlowy z Francją“, 2-re, że znajdują się w nim zdania niezajmujące, jak np. o pannie Cecylii i Gertrudzie; a po 3-cie, że są w nim zdania, mogące szkodliwie wpłynąć na umysł dziecka, jak np. „ty tak, Pan Bóg inak“ (u mnie powiedziano właściwie „Człowiek tak, a Bóg inak“ str. 55 tekst.).

Otóż co do pierwszego, to najprzód Sz. Recenzent nie zwrócił swej uwagi na tę okoliczność, że zdanie o Francyi i Anglii znajduje się w stopniu dodatkowym, przeznaczonym

chodzi — pisze do nas jeden z kompetentnych tej sprawy znawców — że młoda siostra, wprowadzona do szpitala, nie wie, co i jak ma robić, łatwo ulega pomyłkom, bo żaden promień nauki nie oświeca jej czynności. Ztąd również wynika, że ona później uważa się za powołaną zmieniać przepisy lekarza, ile razy ją jako nowe i nieznanne przejmują trwogą. W księgach pewnego prowincjonalnego szpitala znalazłem całe stronice, zapisane skargami miejscowego ordynatora, którego polecen Siostry Miłosierdzia słuchać nie chciały. Ciemnota odciąga je od wszelkiej książki, wprost nawet odnoszącej się do ich zawodu. Podręcznik do pielęgnowania chorych, przetłumaczony i wydany staraniem Rady Miejskiej Dobroczynności Publicznej, nie wzbudza w szarytkach dotąd zaufania; prawomyślna córa miłosierdzia z lekceważeniem i wzgardą patrzy na jego zakurzone i, rozumie się, nieprzejęte karty. Jest bowiem przekonana, że brak teoretycznej wiedzy daleko korzystniejsza dla zawodu zastąpi jej praktyka. Niedorzeczności tego przekonania wykazywać nie potrzeba. W imię więc interesów społecznych, których tak ważną część spoczywa w szpitalach i zakładach dobroczynnych, mamy prawo domagać się ażeby Siostry Miłosierdzia raz już wyszły ze swego zasklepienia i przełamały ten chiński mur, który je oddziela od nauki i umiejętnego traktowania swych zajęć. Nie byłoby to nawet trudnem, gdyż w gronie naszych medyków znaleźliby się zdolni popularyzatorowie, którzyby chętnie podzielili się wiedzą ze swemi pomocnikami w szpitalnej pracy; nadto fundusze Instytutu Św. Kazimierza, jakkolwiek ograniczone, wystarczyłyby na niezbędną materjalną w tym względzie pomoc”.

Do słów tych, dla zwiększenia ich słuszności, nie dodajemy. Dołączymy wszakże uwagę, że działalność Sióstr Miłosierdzia domaga się reformy nietylko w kierunku pracy szpitalnej, ale również w kierunku dobroczynności. Nie chodzi nam tu zaś o nadużycia odnośnych instytucyj, zależne od ich zarządów, ale o postępowanie samych szarytek. Przestało to już chyba być dla wszystkich tajemnicą, że one, jako agentki stowarzyszeń miłosierdzia, sprawdzają deklaracje nędzy na miejscu, starają się przede wszystkim zbadać, czy kandydaci do jałmużny posiadają odpowiednie przymioty bi-

goteryi, czy odbywają pobożne praktyki, poszczą, spowiadają się i t. d. Rozumie się, że przy takich tylko warunkach szarytka zapewnia nędzy wsparcie. Wyobraź sobie teraz czytelniku, że w pewnym domu umiera z głodu chory wyrobnik, który się polecił liłości dobroczynnego zakładu. Przybywa zakonnica, zadaje pobożne pytania i o zgrozo! przekonywa się, że chory już dwa lata nie był u spowiedzi. — „Naprzód się oczyść z grzechów — rzecz surowo — i odpokutuj je, a potem dopiero otrzymasz jałmużnę”. W ilu wypadkach nędzarz zdąży wypowiadać się i odpokutować przed śmiercią, pozostawiamy domyślności czytelnika. Tym więc sposobem nasze Siostry Miłosierdzia zamiast być opiekunkami nędzy, są opiekunkami ubogiej bigoteryi i szafują nieraz jałmużną wbrew woli jej ofiarnawców. Bo nie sądźmy przecie, ażeby np. ofiary prenumeratorów *Przeгляdu Tygodniowego*, dosyć hojnie za jego pośrednictwem na cel dobroczynny przesyłane, składane były dla tych tylko, którym dewocya wydaje świadectwo doskonałości. Ich przeznaczeniem jest niezależna od jej uznania nędza, one, gdy idą pomagać ubogiej matce, nie pytają się, czy jej dzieci z prawego łoża.

Nie żądamy, ażeby instytucja Sióstr Miłosierdzia wyrzekła się swoich zasad religijnych, ale żądamy, ażeby rozumiała swoje obowiązki, przygotowywała się do nich należycie i nie wyposażała kosztem publicznego grosza najgorszego ze społecznych żywiołów, zepsutej i ogłupionej bigoteryi.

KRESY DZIEJOWE.

SZKIC

A. G. BEMA.

(Ciąg dalszy.)

Zawezwano następnie do „izby radnej” ministrów i posłów, zebranych w liczbie około stu osób w pobliżu zamku u ks. M. Poniatowskiego, biskupa płockiego. Grono to, wysłuchawszy aktu konfederacyi i uroczystej przemowy stojącego pod baldachimem tronowym króla, powołało jednomyślnie na urząd marszałków dwu zaproponowanych przez monarchę kandydatów: wprowadzonego *ad hoc* do Warszawy na kilka

miesiący przed sejmem Andrzeja Mokronowskiego i sekretarza Rady N. młodego A. Ogińskiego. W podobny sposób mianowano konsyliarzami Rady Konfederacyjnej: a) z senatu: M. Radziwiłła, Aug. Sułkowskiego, Marcina Grocholskiego, kasztelana braławskiego; b) z ministeryum: Al. Sapiechę kancl. w. l. i Fr. Rzewuskiego m. n. k.; c) ze stanu rycerskiego: Kazimierza Raczyńskiego p. poznańskiego¹⁾, M. Sierakowskiego, Fr. Bielińskiego star. i p. czerskiego, Kaj. Olizara, Potockiego star. olsztyńskiego, R. Chołoneckiego, Tyszkiewicza p. wileńskiego, Paca p. grodzieńskiego i Morykoniego p. wilkomirskiego. Następnie wyznaczono do hetmanów oraz podskarbiech delegację, która miała im donieść o spełnionym fakcie i w imię związku zawezwać do złożenia podwójnej przysięgi, jako ministrów i dostojników, prezydujących we właściwej komisji. Odpowiedni rozkaz, za pośrednictwem generała Komarzewskiego, otrzymało i wojsko. Ks. August Czartoryski w legalnym ducha nastroju przystąpił do konfederacyi, a za nim marszałek w. k. i czterech hetmani. Dyaryusz tylko notuje, że gdy Branicki, składając według przepisanej rotacji przysięgę, protestował przeciw wyrażeniu „actus liberae voluntatis”, oraz opuszczał niektóre wyrazy — jak np. „Stanislaus” przed wyrazem „Augustus” — król odezwał się groźnie: „Mości panie Hetmanie, nie jest to czas dysput, ale pełnienia rozkazów: konfederacya tak każe...”

Jak widzimy, Stanisław August miał cywilną odwagę stawić opór możnowładcom, ilekroć czuł pewniejszy grunt pod sobą.

Do wstępnych wreszcie, czysto-formalnych czynności należało ułożenie odpowiednich not: do nuncjusza, do posła rosyjskiego, austriackiego i t. d., na które otrzymano niebawem pełne przyjaznych życzeń odpowiedzi.

W ten sposób wyszła na jasną nową konfederacya, podobna cokolwiek do związku z 1788 r., a bardziej do swej z 1773 r. poprzedniczki; ale niezgodna ze starożytnym typem, jaki starali się jeszcze odtworzyć zarówno malkontenci Radomscy i rycerze z Baru, jak późniejsi Targowiccy agitatorowie.

¹⁾ Dwulicowe postępowanie ex-pisarza, a przyszłego marszałka w przededniu sejmku, wyjaśniają nieco wzmiankowane już *Notaty gen. br. wielk.*

edynie na wprawę w czytanie wyrazów cudzoziemskich, które już przez to samo, że są cudzoziemskimi, muszą zawierać w sobie pojęcia mniej jasne, aniżeli czysto polskie; dalej Sz. Recenzent nie zwrócił uwagi na to, że mój elementarz nie jest przeznaczony dla samouków, że zatem przy dziecku, uczącym się podług niego, musi się znajdować nauczyciel, którego zadaniem jest niezrozumiałe dla dziecka pojęcia tłumaczyć; nakoniec zwracam uwagę Sz. Recenzenta na to, że w swym elementarzu postawiłem sobie za zadanie (p. rezultaty nauki str. 112 i 113) nie tylko nauczyć dziecko mechanicznego czytania, ale zarazem rozwijać jego umysł i rozszerzać pojęcia; a nie można osiągnąć podobnego celu, gdybyśmy się wciąż obracali w jednym i tem samym kółku zdań i pojęć, dobrze już znanych dziecku.

Co do drugiego zarzutu, to przedewszystkiem zdania pojedyncze same przez się nie mogą być w ogóle zbyt zajmujące; połączone dopiero z sobą w jedną organiczną całość mogą utworzyć jakąś zajmującą powiastkę, bajkę, opis i t. p. Jak jednak nawet takie pojedyncze zdania uczynić zajmującymi, jak je ożywić i jak urozmaicić jednym słowem monotoność lekcji czytania, o tem znajduje Sz. Recenzent wyczerpujące objaśnienie na str. 62 i 63 Uw. 1. Oprócz tego wzmiankowane przez Sz. Recenzenta zdania o pan-

nie Cecylii i Gertrudzie wzięte są znowu z tego samego stopnia dodatkowego na czytanie wyrazów cudzoziemskich spolszczonych, pomiędzy którymi najwięcej jest imion własnych, a do takich imion dorabiane zdania muszą albo wkraczać w dziedzinę nieznaną dziecku jeszcze geografii i historii, albo też trącić konwencyonalizmem; jest się więc tutaj między Scyllą, a Charybdą, t. j. ma się do wyboru albo zdania trudne do pojęcia dziecka, albo też łatwe, ale za to mniej zajmujące. Dodać tu jeszcze muszę, że, o ile mi się przynajmniej zdaje, w moim elementarzu zrobiono więcej, aniżeli w jakimkolwiek innym krajowym lub nawet zagranicznym, aby początkową naukę czytania uczynić jak najbardziej zajmującą; wprowadzono bowiem doń rozmaite ćwiczenia umysłowe, jak: pytania bez odpowiedzi (p. objaśnienia str. 78), zdania niedokończone (p. tamże str. 92 i 93), pytania fałszywe i na wpół fałszywe (p. tamże str. 103) i nareszcie zagadki (p. tamże str. 106)¹⁾, które to ćwiczenia nie tylko że rozwijają umysł, ale nadto nadwyzczaj urozmaicają lekcję i zachęcają dziecko do czytania. Z tej więc strony nigdy nie spodziewałem się zarzutu.

¹⁾ Wprawdzie ćwiczenia takie, a przynajmniej niektóre z nich, znajdują się i w innych elementarzach, ale post festum, t. j. wtedy, gdy już dziecko może czytać i całe powiastki, bajki itd.

Co do trzeciego zarzutu, to nie wiem właściwie, o co Sz. Recenzentowi idzie, bo nie mogę domyśleć się nawet, jaki szkodliwy wpływ może wywrzeć na umysł dziecka takie zdanie jak: „Człowiek tak, a Bóg inaczej”. Wszak w niem nie ma ani fałszu, ani też nic zdroźnego, boć treść jego jest ta, że nie wszystko nam się to udaje, co sobie zamierzamy. Wprawdzie gdyby dziecko bez nauczyciela przeczytało to zdanie, to mogłoby sobie wywnioskować może, że Pan Bóg robi zawsze na przekorę człowiekowi, co by rzeczywiście sprzeciwiało się zdrowemu sensowi i naszemu pojęciu o Bogu. Wypadałoby więc może dla wszelkiej pewności uzupełnić to zdanie; ale na to jaby się nie odważył, gdyż to jest przysłowie, a przysłów, zdaje mi się, nie wolno nam ani zmieniać ani przerabiać, bo już przez to samo przestałyby być przysłowiami. Ze zaś takich przysłów sporą ilość w mym elementarzu pomieściłem (a niech mi Sz. Recenzent wierzy, że dobieranie ich na odpowiednie głoski niemało mię pracy kosztowało), to uczyniłem to z tego powodu, że przysłowia mają przy początkowej nauce ogromną wartość pedagogiczną pod względem treści, a więcej jeszcze może pod względem języka. W nich bowiem z jednej strony odzwierciedla się życie, charakter i sposób zapatrywania się na świat narodu, który je wytworzył, a z dru-

Konfederacya w starej Polsce (od r. 1438) była mniej więcej tem, czem dyktatura u Rzymian: uciekano się do niej, ilekroć sądzono, iż Rzeczpospolita jest w niebezpieczeństwie. Zwykle obok osób wpływowych grupowało się jedno jakieś województwo; następnie inne dobrowolnie czy z przymusu szły za jego przykładem, aż kraj częstokroć cały stawał się wielkim sprzymierzonym obozem. Najczęściej powstawały dwa konfederacyjne ogniska, a ztąd i rozterki krwawe. Nieokreślona prawami forma takiego związku otwierała wrota dla rokoszów i wszelkiego rodzaju nadużyć,—co nareszcie spowodowało prawodawców na „niemym” w r. 1717 sejmie do wyraźnego zakazania konfederacyi. Pod ostatnim królem zostały one wznowione, ale zarazem i w pewne karby ujęte. Weszły bowiem w zwyczaj nieodłączne dawniej od bezkrólewia, tak zwane sejmy pod konfederacyą. Z powodu, iż zasadę tamowania obrad wyłączały, zaczęto nawet w nich dopatrywać się jedynej śród politycznego chaosu deski ocalenia; nie spostrzegano tylko, że deska ta jest mieczem obosiecznym... Każda też konfederacya Stanisławowska—z wyjątkiem Barskiej (a poniekąd i Targowickiej)—zamienia się wczesniej lub później, na zasadzie uprzedniego planu, w ciało sejmujące; przymierze zaś prawodawcze z 1776 r. jest może bardziej niż inne spokojnem i jednolitem; ale za to bardziej niż inne osobistem i gabinetowem. Pierwsze na dniu 26 sierpnia posiedzenie było jeszcze dalszym ciągiem wstępnych przygotowań. — Zamknięto nadewszystko drzwi przed arbitrami i natrętą gromadką republikańskich rzeczników. Syn wojewodzicowej Mściławskiej Kazimierz N. Sapieha, Ignacy Potocki, a wraz z kilkudziesięciu innymi i nasz facyendarz-sejmikowicz, Jan Lipski, pozostali za progiem izby sejmowej. Te tak zwane „rugi konfederackie” wywołały, rozumie się, niepospolite śród pokonanego stronnictwa oburzenie. Hetman Braniczki jeszcze w 10 lat później (1786) wymawia na sejmie Stanisławowi Augustowi, iż w 1776 r. „posłów przez karabiny i za kartkami do izby wpuszczano...”

Wyznaczoną została następnie przez króla „deputacya do konstytucyi”, w skład której weszli: a) z senatu: M. Poniatowski b. płocki, Józef Stępkowski, Aug. Sułkowski, Ant. Giełgud kaszt. żmudzki; b) ze stanu rycerskiego: Jacek Małachowski p.

sand., Kaź. Lipiński p. podolski, Maciej Sobolewski p. warsz., Józef Mikorski p. gostyński, Dom. Romer p. trocki, Kaź. Wolmer p. grodzieński. Prawodawczy ten decemwirat ozdabiać miał swemi podpisami zapadłe przez jednomyślność lub większość głosów uchwały sejmowe.

Odbyte w dniu 27 sierpnia drugie z rzędu posiedzenie, które poprzedziła sesya Rady Konf. Gen., nosi na sobie również czysto-gabinetowy charakter. Powtórnie i stanowczo wzbroniono na niem wstępu do sali obrad tym posłom, którzyby do chwili bieżącej aktu nie podpisali, a legalnie słabości zdrowia nie dowiedli. Potem zatrudniono się delegacyami do zbadania czynności komisji wojskowych i skarbowych obojga narodów. Król mianował delegatów z senatu, marszałkowie ze stanu rycerskiego—osobno dla Korony, osobno dla Litwy. Zasługuje wreszcie na uwagę ta okoliczność, że gdy następnie idący ręką w rękę z królem kanclerz w. k. podał do laski projekt, aby wbrew zagwarantowanej ustawie z r. 1775 obierano sędziów sejmowych (po 10 z każdej prowincyi) większością głosów na sesyach prowincjonalnych, — Jan Borch podkanclerzy k., miarkując z mowy, że projekt dąży do odmian., ogłasza za rzecz konieczną uwiadomić o tem przez notę posła rossyjskiego „i od niego na piśmie żądać rezolucyi”. Król ze złe tajonem niezadowolaniem chwali „przezorną ostrożność” ministra: notę wygotować rozkazuje, ale i projekt Młodziejewskiego czytać pozwala. — Wspomnieć tu należy, iż z chwilą rozpoczęcia obrad, ufny w przyjaźń Rossyi Stanisław August pragnie działać i do pewnego stopnia działał samoistnie; żywił jednak republikańskie, a bardziej przeszło-sejmowe, stanowią przeciwagę, która jego plany ogranicza i tłumi. Pierwsze więc w tym rodzaju przeczenie było dla króla złowrogim „memento”; dla nas zaś dzisiaj jest ono dość jasnym wykładnikiem obywatelskiej wartości Borchy, którego J. Bartoszewicz (w *Enc. w. Org.*) nazywa „prawym”, „obrotnym”, „byстрыm”, a J. I. Kraszewski — na podstawie świadectw bardziej wiarogodnych— „zapaloną a tępą głową”. Zkądinąd wiemy, iż ówczesny podkanclerzy był ambitnym i chciwym konserwatystą; że sprzeciwiał się wszelkim odmianom; że z zawzięcią patrzył na swych współzawodników, a na sejmie 1775 r. przyjął „zawdzięczenie” od Rzeczypos-

politej w postaci cyfry 335 tysięcy złotych, oraz niezależnie od tego zapis na 20 tysięcy dukatów... Piastun mniejszej pieczęci, żywił naturalnie osobistą nieprzyjaźń dla kanclerza w. k., który, mimo swej nędzy moralnej, przerażał młodszego kolegę siłami umysłowemi. J. Młodziejewski zresztą i Borch byli czynni na przeszłym sejmie. Ale w r. 1776 kanclerz w. k. spełnia funkcję współkierownika obrad, a podkanclerzy k. stoi na uboczu. Łatwo więc sobie wytłomaczyć, dla czego *znawca i przestrzegacz* narodowej tradycyi, Borch, nie życzył sobie na sejmie 1776 roku odmiany uchwał zapadłych w r. 1775. Minister ten dowiódł raz na wiecu 1776 r. zarówno niepospolitej odwagi cywilnej, jak pod pewnym względem i braku taktu, gdy na jednej z pierwszych sesyj, robiąc prawdopodobnie aluzję do Młodziejewskiego, wyrzekł, iż w kole sejmowem zasiadają ludzie „*crimine publico notati*” (t. j. zostający pod zarzutem zbrodni stanu). Oburzyła się na to cała izba, a pan podkanclerzy był zmuszony wyjaśnić, iż dalekim był od chęci obrażania *stanu rycerskiego*... Sprężystości więc wogóle mówczej Borchowi odmówić niepodobna.

W dniu 28 sierpnia, po urzędowem zgażeniu sesyi, odczytaną została nota Stackelberga, w której był szczególny nacisk na dwa zasadnicze tematy, t. j. na potrzebę wzmocnienia powagi Rady Nieustającej i „ratyfikacyę dzieła granicznego”. Trzecie to posiedzenie jest już w całym znaczeniu tego wyrazu sejmową biesiadą. Nieme dotąd ciało prawodawcze nabiera życia i ruchu: walczą ze sobą poglądy, namiętności się krzyżują. Markowski, poseł mielnicki, który od trzech dni napróżno domagał się głosu, żąda przedewszystkiem rewizyi sejmików rozdwojonych i śmiało oświadcza, iż „sancjta konfederacyi praw uchylać nie mogą”. — Było to wyraźne hasło dla zacieklej republikańców. Powstał więc z miejsca swego Rzewuski, hetman polny koronny, a za nim: Stanisław Lubomirski m. w. k. i Tadeusz z Lipego Lipski. Przedstawiciele stronnictwa monarchicznego, jak: Bouffal p. starodubski, Rzeszotarski p. rawski, oraz kasztelan Szydłowski — słabo odpierali grzmiące razy opozycyi. Osią tego pierwszego starcia, które ciągnie się dalej przez sesyę następną była kwestya bytu zaimprovizowanej zręcznie konfederacyi. Lewica sejmowa zarzucała torysom polskim: rozdwojone sejmiki-

giej w nich tętni z całą swą pierwotną siłą jedność i więźność i malowniczość naszej mowy; są więc najwyborniejszym środkiem do zaznajomienia dziecka tak z jednym, jako też i z drugim; oprócz zaś tego są one dla dziecka daleko więcej zajmujące, aniżeli inne sztuczne dorabiane zdania.

Oprócz trzech powyższych zarzutów Sz. Recenzent potrafił mimochodem o błędny często wykład lingwistyki i o nużące objaśnienia. Otóż co do pierwszego, to bronie się w tym względzie nie mogę, gdyż Sz. Recenzent nie nadmieniał, na czem polega właściwie ów błędny wykład; a jednak zdawałoby mi się, że byłoby bez porównania lepiej tak dla publiczności, mogącej z mego elementarza korzystać, jako też i dla mnie samego, gdyby Sz. Recenzent był wytknął szczegółowo owe błędy lingwistyczne, zamiast poprzestać na gołosłownej wzmiance. Co zaś do drugiego punktu, to nie zaprzeczam, że objaśnienia w mym elementarzu tak, jak i każde inne, mogą się wydać nużąciami przy ryczałtowem czytaniu, do jakiego każdy recenzent jest zmuszony. I z tego to zapewne powodu Sz. Recenzent, nie woczytawszy się dobrze w owe objaśnienia, zbyt pobieżny sąd o mej pracy wydał. Gdyby jednak Sz. Recenzent znalazł się w potrzebie uczenia kogoś czytać, pisać i rysować, a chciał (o czem nie wątpię) sumiennie

to zadanie spełnić, to owe objaśnienia bezwątpienia w innym ukazałyby Mu się świetle.

Przy tej sposobności załączam wyrazy szacunku i poważania, z jakim dla Sz. Redakcyi pozostaję

W. Trybalski.

Odpowiemy sz. autorowi kilkoma słowy: W którym stopniu pomieszczone są pojęcia niezrozumiałe, o to mniejsza, w każdym razie przeznaczone są dla dziecka, uczącego się dopiero czytać, i wątpimy, ażeby one (np. *traktat handlowy*), nawet przy nauczycielskiej pomocy stały się dla niego jasne. Drugi punkt omijamy, gdyż on nie daje nam podstawy do sporu. Odnosnie trzeciego zauważymy, że dziecko niezdolne jest do tak sofistycznego wykładu przysłów, do jakiego zdolnym jest nauczyciel i maksymę: „Człowiek tak p. Bóg inak” przyjmie literalnie. Wreszcie co do niemotywowanego z naszej strony zarzutu w przedmiocie lingwistyki, mieliśmy na myśli *naciągane i sztuczne* (jak je sam autor nazwał) sposoby objaśniania dziecku praw fonetycznych (str. 98). W końcu zapewniamy sz. autora, że recenzent nasz niepodobnie zbadał jego książkę i że wielką staranność w opracowaniu jej, obok uchybień, widział.

Nie mogąc zamieścić w całości listu pana Witolda Aleksandrowicza, znakomitego pro-

fesora śpiewu w Medyolanie, ze względu na drażliwą treść, określimy tylko na jego podstawie, istotę stosunku i sporu pomiędzy Aleksandrowiczem a jego uczniem panem Wierzbickim. Pan Aleksandrowicz usunął dla dobra swej szkoły pana W. i przestał kierować jego nauką, w skutek czego pan W. „począł szukać zemsty protestami w pismach warszawskich (Wiek № 25), jakoby nie był jego uczniem.

My swego głosu do tej walki nie miesza-

Jakież wam jeszcze *echa* zanotować mamy? *Alles bleibt bei der alten Leier*, gdyż nawet kolej Nadwiślańska przez cały tydzień nie rozbiła ani jednego pociągu. Chyba więc to tylko zapisać wypada, że p. L. Niemirowski, jak zwykle, „pyta z ręką na sercu” o wszystko, wyjąwszy o to, kiedy się zaczął przedstawienia w Eldorado, że p. A. Niemirowski złożył „szczerą podziękę od całego kraju *Encyklopedyi Kościelnej*”, że *Przeгляд Katolicki* wreszcie dowodzi, iż cała nauka jest potwierdzeniem prawd Biblii, gdyż o ile się z nią nie zgadza, nauką nie jest.

Olśnieni tem dowodzeniem proponujemy złożyć „szczerą podziękę *Przeглядowi Katolickiemu* od całego kraju” i Paraguaju.

przemoc i zniewagę praw krajowych. Król natomiast, jako pierwszy swego stronnictwa rzecznik, oskarżał łagodnie poddanych o prywatę i nieufność, z zalem wspominał o Radomianach i Barzanach, a w długiej mowie, mianej na 4-tem posiedzeniu, te pamiętne wyrzekł słowa: „Rządu wewnętrznego roztropnie i mądrze ufundowanego żądamy, a mocarstwa nas otaczające nietylko nam tego nie bronią, ale owszem życzą. Jestem przyjacielem Imperatorowej Rossyjskiej. Mówię to tak głośno, jak prawdziwie; bo interes ojczyzny mojej każe mi być jej przyjacielem...”

Z obozu whigów polskich śmiało na pierwszych zebraniach przemawiał Tadeusz Lipski kaszt. łęczycki; ale na równi z królem i na przeciwnym biegunie mógł stanąć tylko Seweryn Rzewuski h. p. k., którego w dalszym ciągu scharakteryzować nie omieszkamy. (D. c. n.)

KRONIKA WIEDEŃSKA.

(Dokończenie).

Korzystając z służącego nam przywileju kronikarza wiedeńskiego, a zatem głowy austriackiej, pozwólcie, że zбочę do Pragi, na którą jedno oko tej głowy mocno jest zwrócone. Tamtejsi deklaranci, czyli staro-czesi, nie od dziś się kłócili z młodo-czechami; kłęski, niepowodzenia polityki deklaracyjnej nie sprzyjały zgodzie, więc się też zaczęto między sobą spierać. Szło o to, czy utrzymać dawny kierunek, patrząc na zagranicę, czy też zawrócić do Rady Państwa. Zdaje się, że p. Skrejszowski, poseł i dziennikarz bardzo wpływowy, stał mocno na przeszkodzie temu drugiemu kierunkowi, doradzanemu przez Riegera. Skrejszowski miał tę niedogodność pozycyi, iż zrujnowany stał się materyalnie zależnym. Postanowiono więc tak skrupowanego pozbyć się zupełnie i usunięcie się z koła posłów czeskich Skrejszowskiego zostało ogłoszonem. Naturalnie, zawrzała walka, a Skrejszowski ze stanowczością sobie właściwą wystąpił w szeregu artykułów, zamieszczonych w redagowanych przezeń pismach — *Politik* i *Brousek*. Pismo *Politik*, jak powiedzieliśmy, nie było wyłączną już jego własnością, ale część materyalna pozostawała pod zawiadywaniem konsorcyum, z staro-czechów złożonem, którego prezydującym był radca budowlany Thierhier; na jego też imię intabulowaną została drukarnia i dom Skrejszowskiego. Uzyskawszy to, staro-czesi przystąpili do wyparcia Skrejszowskiego z głównego stanowiska redaktora. Pewnego razu, celem narady, zebrali się członkowie konsorcyum, a między nimi Rieger, burmistrz Skramlik, prof. Zeithammer, Dr. Scholtz, budow. Kaudut w pewnej restauracyi, gdzie się dowiedziano, iż nazajutrz ma być umieszczony w *Politik* namiętny przeciw Riegerowi artykuł, w kwestyi teatru narodowego. Grono postanowiło wysłać Thierhiera i Scholtza, aby przeszkadzili wydrukowaniu artykułu. Gdy obadwaj przybyli do drukarni, znajdującej się na pierwszym piętrze domu Skrejszowskiego, była godzina pierwsza po północy. Zarządzający tej nocy drukarnią Hrażanek był w zakładzie, a gdy przybyli wymagali, aby im wydał artykuł, odpowiedział energicznie: „Mnie tutaj nikt nie ma nie do rozkazania, tylko p. Skrejszowski”. Wtedy Thierhier rzucił się na złożone drukarskie kolumny i rozsywał je na ziemię. Hrażanek pobiegł czempredziej do mieszkania Skrejszowskiego na drugie piętro, aby go uwiadomić o tem, co zaszło. Tymczasem Scholtz napisał następujące słowa, które miały być pomieszczone w miejscu rozrzuconego artykułu: „artykuł polemiczny p. Skrejszowskiego

został usunięty na polecenie konsorcyum wydawniczego”. Thierhier tymczasem pobiegł także do Skrejszowskiego, a za chwilę usłyszano kłótnię i wrzask. *Politik* tę ostatnią scenę tak przedstawia: „Thierhier był mocno podchmielony, a Skrejszowski oświadczył stanowczo, iż ze względu na jego stan nie zejdzie do drukarni. Poleciał jednak zawołać zarządcę Nagla; gdy jednak Hrażanek schodził, Skrejszowski, rozmyśliwszy się, iż produkowanie przed obcymi niezgód konsorcyum zaszkodzi dziennikowi, zawołał na schodzącego zecera, aby nie wołał Nagla. Na ten głos Thierhier wybiegł, a wołając: „Co tu pan masz do rozkazania”, rzucił się na Skrejszowskiego i chciał go uderzyć. Skrejszowski odbił cios, Thierhier chciał go powtórzyć, lecz zatoczył się i spadł ze schodów”. Akcja jednak musiała się odbyć nieco inaczey, niewielkiego bowiem wzrostu Thierhier przerzucony został przez metrowej wysokości baryerę schodową i znaleziono go w opłakanym stanie bez przytomności, z potrzaskanymi zebrami i złamaną ręką. Skrejszowski został uwięziony, a Praga wiadomością tą do gruntu wstrząśnięta. Sądy wyświecą prawdę, ile będą mogły, a tymczasem zawrzała walka między konsorcyum a Skrejszowskim, którego reprezentuje Dr. Klauudy. Trudno wyliczyć procesy, jakie sobie wzajemnie wytoczono, a które, bądź co bądź, nie dodadzą siły partyi deklarantów. To też ze wszech stron zapewniają, iż właściwie partya ta, będąc rozbitą, o tem tylko myśli, aby się pod jakimkolwiek pozorem wycofać z zajętogo dotychczas stanowiska.

Kiedy się takie wypadki odbywały w Pradze, Peszt, druga stolica monarchii, był również widownią rozgrywającego się procesu, który publiczność utrzymywał w napiętej ciekawości. Przed sądem, oskarżony o zdradę stanu, stanął b. deputowany do sejmu Dr. Miletics. Jego piękną twarz zdobi długa siwa broda, a głowę okrywają bujne kędziory włosów, spadające aż na plecy. Broni się w języku niemieckim, żywo gestykulując, ale bez teatralnej afekcacyi i sprawia sympatyczne wrażenie. Oskarżycielem jego jest świadek Jerzy Rancowics, błąd, o użytym wyrazie twarzy, namiętny, ruchliwy, ani chwili nie stoi spokojnie, ciągle gestykuluje i w podejrzanym sposobie zwraca oczyma.

Oskarża on Mileticsa, że jeszcze w czerwcu 1876 r., bawiąc w Belgradzie, na uczcie w hotelu „pod serbskim królem” miał mowę, w której rzekł, iż w Banacie w Baccka i na Serbskim pograniczu znajduje się 20 do 30 ochotników, którzy mają pójść Serbii w pomoc przeciw Turkom. Ażeby im ułatwić przejście granicy na pierwszy strzał armatni, należy wywołać powstanie w Węgrzech. Pieniądzy i broni dostarczy Serbia, a w ostateczności i bez tego się obejdzie, nie braknie bowiem broni w kraju. Miletics wzywał obecnych, aby agitowali w tym kierunku, że jeżeli Serbia zwycięży, to da dłoń pomocną swym braciom pod panowaniem austriackim, aby się mogli uwolnić z pod ucisku mongolów i serbożerców. Jest rzeczą możliwą, że Banat, Baccka i Syrmia połączą się z Serbią pod panowaniem Milana w postaci Królestwa Serbskiego. W tym duchu Miletics miał mówić długo, podburzając obecnych do nienawiści przeciw Austrii i Węgrom. Następnie Miletics udał się ze świadkiem do prof. Boskowicza, a potem sam do ministra Risticca, gdzie bawił do trzeciej rano. Oskarżony zaprzecza znajomości ze świadkiem i podane fakta, nigdy na uczcie „pod królem serbskim” nie był i mowy takiej nie miał. W Belgradzie bawił za własnymi interesami cztery dni i obznajmiał się z tamtejszemi stosunkami, jako publicysta. Był na audyencyi u ks. Milana. — „Zdaje mi się, że nie jest zbrodnią podród do Belgradu, a wytoczono mi proces tak sa-

mo, jak przed trzystu laty Giordanowi Bruno za to, że jeździł do Londynu i Genewy”. — Niepodobna nam przytaczać w krótkiej kronice całego, a nadzwyczaj dramatycznego, przebiegu słuchania świadków. Wszyscy oni zeznają na korzyść Mileticsa, wielu z nich cofa swe pierwotne zeznania, jako wymuszone presją przez sądy madziarskie lub uczynione z namowy Rancowicsa, głównej sprężyny procesu. Człowiek ten, który był dawniej agentem gen. Stratimirowicza, ukazuje się jako lichy awanturnik, a w końcu szpieg austriacki. Wielu świadków przyjmuje na siebie winę agitacyi, zaprzeczając w nich udziału Mileticsa. Lecz to wszystko nie pomaga; madziarska polityka z nieubłaganą posuwa się konsekwencyą i proces kończy się wyrokiem, skazującym Mileticsa na pięć lat ciężkiego więzienia. Dawno ogół nie był tak mocno dotknięty, jak tem orzeczeniem sądowem, które prawdopodobnie potwierdzonem zostanie przez wyższą instancyę, do której oskarżony i niesyta odwołała się prokuratorya. Sądzą jednak, że cesarz w drodze łaski wyrok złagodzi.

Lecz i w samej stolicy nie braknie dramatycznego zajęcia... a obecny karnawał można słusznie nazwać karnawałem samobójców, którzy, nie czekając chwili gorętszych, w styczniu podrzynają sobie gardła, wieszają się, strzelają sobie we łby, a już co najgorliwiej, trują z zapalem. Dnia 16 stycznia nawet dość przywykły do takich scen Wiedeń został poruszony wypadkiem, jaki dotknął rodzinę niejakich państwa Gonschorowskich. Erich Gonschorowski (jak go piszą dzienniki wiedeńskie) był rodem z Ortelsburga w Prusiech. Przybywszy do Wiednia, obracał się w kołach artystycznych, gdzie poznał pannę Natalię, córkę profesora Laugnera. Panna była starannie wychowana a z natury egzaltowana; pałając chęcią odznaczenia się na polu sztuki, wystąpiła na jednej ze scen zagranicznych w roli Gretchen i zrobiła kompletne fiasco. To ją wyleczyło z aktoromanii, ale nie z egzaltacyi. Między młodymi ludźmi wkrótce zawiązała się miłość, uwieńczona ślubem. Stosunki p. Gonschorowskiego zdawały się świetne: miał on naprzód drukarnię, potem kantor giełdowy i dziennik ekonomiczny; zajmował w pałacu Schlicka wielkie mieszkanie, trzymał służbę, konie, dawał wieczory i bale. Lecz wkrótce pokazało się to wszystko złudzeniem, banką mydlaną, do domu wtargnął niedostatek, a p. Gonschorowski za nadużycie cudzych sum miał sobie wytoczony proces. Żona, lubo przywykła do dobrobytu, znosiła nędzę wytrwale; lecz gdy do pokoju Gonschorowskiego, który leżał chory, wszedł urzędnik policyjny, aby go aresztować, odgadła, co ich czeka, i postanowiła życie sobie odebrać. Zanim zażyła truciznę, rozpisała listy do rodziny, a przyjąwszy dozę morfiny, weszła do pokoju męża, zapewniając go o swej miłości. Widząc ją pomięszaną, zapytał: „co ci jest?” — „Nic, odrzekła, ale gdyby mi się co stało, proszę cię, otruj mego... pieska” i po tych słowach padła martwa. Gonschorowskiego aresztowano w kilka dni, gdy jeszcze zwłoki żony nie były pochowane. W tym samym czasie na placu Schillera zastrzeliła się aktorka Tekla Esser. U Danzera w Orfeum zapoznała się z pewnym właścicielem hotelu i, jak twierdzi kronika, rozgorzała miłością. To pewno, że zasypywała swego adoratora listami, w których, obok oświadczeń miłości, znajdowały się natarczywe żądania... pieniędzy. Na jeden z balów wzięła sobie na jego rachunek domino; czem uszczęśliwiony kochanek oświadczył, że rachunków płacić nie będzie, a czułych listów przyjmować nie chce. Po kilku dniach poprosiła go Tekla, aby widział się z nią na placu Schillera; wzięwszy z sobą przyjaciela, stawił się na umówionem miejscu i wkrótce ujrzał Teklę

zbliżającą się z jakimś wojskowym. Aktorka głosem wzruszonym zapytała właściciela hotelu, czy nie zmienił swego zamiaru, a gdy odebrała odpowiedź potwierdzającą, z okrzykiem: „A więc bądź przeklęty!” — wydobyla pistolet i wystrzeliła — do siebie.

Między tragedjami zdarzają się i kome-dye. Piękny huzar, czy ułan, hr. Baworowski, Morawianin, imiennik galicyjskich hrabiów, zresztą goły jak święty turecki, rozkochał w sobie tłustą rzeźniczkę i otrzymał jej puchną rączkę, wraz z odpowiednim kwantem brzączącej mamony. Wkrótce pan huzar porzucił rzemiosło Marsa, a korzystając ze swego tytułu i szkatuły teściowskiej, wszedł do rady zarządzającej spółką dostawy mięsa dla armii, której teść-rzeźnik był założycielem. Otóż kilka dni temu dzienniki dają znać, iż pan hrabia się ulotnił; naturalnie posypały się rozmaite artykuły na temat marnotrawstwa, zbytku, wskazywano na kosztowne ulotnione stosunki z pewną przedmieściową aktorką i t. d. Aż tu trzeciego dnia hrabia spółnik powrócił do Wiednia i tonem najpokorniejszym w dziennikach oświadcza, iż jeździł tylko do... Wiener-Neustadt, za interesami wołowemi!

Jeśli się p. hrabiemu nie powiodła podróż, to również Rotschildom nie wiodą się interesa starożytnicze. Niedawno przed sądami wiedeńskimi odbywały się dwie sprawy, do których nazwisko „króla bankiera” wplątane zostało. U pewnego z artystów wiedeńskich p. Hermann, magik, zoczył prześlizniętym naramiennik starego rycerskiego ryszunku. Jako znawca, przycepił się do malarza i póty go męczył, póki nie nabył owej archeologicznej rzadkości za 2,000 złr. Hermann naturalnie kupił ją nie dla siebie, ale dla odprzedania Rotschildowi — zeskromnym zyskiem 8,000 złr. Po jakimś jednak czasie otrzymuje wiadomość, iż Rotschild zrzeka się kupna i żąda zwrotu pieniędzy, gdyż naramiennik jest podrobiony. Biedny magik pieniądze musiał zwrócić, lecz z kolei wystąpił do malarza o zwrot 2,000 złr., gdyż podrobiony naramiennik i dwustu guldenów wart nie był. Malarz się broni niewiadomością o podrobieniu, a biegli oświadczają, iż obecnie podrabianie przedmiotów starożytnych jest doprowadzone do takiej doskonałości, że niepodobna w tej kwestyi stanowczo decydować. Na tej zasadzie broni się również i znany tutejszy antykwarjusz Pick, nabywca skradzionego górnika Wieliczki rogu. Twierdzi on, iż kupując tę pamiątkę, sądził, że jest to tylko imitacja. Sąd jednak skazał Picka na 150 guldenów kary, a konserwator zabytków w Galicyi domaga się zwrotu rzeczy skradzionej, która dotąd spoczywa w zbiorach barona Rotschilda. Pojmujecie, jak procesa podobnego rodzaju przestraszają starożytników, którzy nie mogą być ani chwili pewni, czy zamiast oryginałów nie posiadają lichych imitacji.

Kiedy zaś kwestyj nie chcą, czy nie mogą rozwiązywać nawet biegli, to chyba trzeba się będzie udawać do mediów, którym przeszłe i przyszłe rzeczy nie są zakryte. Niedawno właśnie odwiedził Wiedeń jeden z takich duchowych spirytystów p. Sladge i odbył kilka wieczorów w hotelu Metropol w zaufanym gronie znajomych. Grono byłoby się pewno nawet rozszerzyło, gdyby niegrzeczna policja austriacka spirytysty nie była wyprosiła z miasta. Gdy o tem przybył mu oznajmić komisarz policji, niezmięszany Sladge z najzimniejszą krwią mówi: „Rzeczy moje są już spakowane. Wiedziałem o misyi, którą pan spełniłeś”. — „Zkąd, jeśli wolno zapytać?” — mówi policjant. — „Duch z tamtego świata przyniósł mi tę wiadomość”. — „Jak się nazywa?” — „O! roz-maicie się duchy nazywają, czasami jest to Cezar, Karol Wielki lub Napoleon III”. — „No, przynajmniej spirytysty na brak dobrej służby nie mogą się zalić, jak się słusznie

zalić może na brak powodzenia mistrz muzyki przyszłości Wagner. Jego Nibelungi, wystawione z takim przepychem w teatrze Opery, jeśli nie zrobiły fiasca kompletnego, to wcale nie budzą w publiczności najmniejszego zajęcia; na pierwszym przedstawieniu był dwór, zeszła się arystokracja, więc i sala była pełna; ale na drugim przedstawieniu świeciła pustką. Wogóle teatr opery pracuje przy 300,000 guld. deficytu. Kiedy został otworzony, abonament roczny miejsc numerowanych wynosił 500,000 guld.; za czasów Horbeka zszedł do 400,000; w roku zeszłym już wynosił 180,000, a w obecnym nawet stu nie dochodzi. Burgtheater pod dyrekcją Laubego lepiej się trzyma, ale też pracuje nie zartem; na deskach tego teatru co tydzień musi być wystawioną nowa sztuka, przy obsadzie pierwszorzędnymi artystami. Nie, takie zgorzsenie nie pokaże się w teatrze warszawskim, tam dość trzech lub czterech sztuk na rok. Karlstheater na Leopoldstadzie i teatr na Widyniu jeszcze częściej muszą zmieniać sztuki; albo raczej każdą operetkę lub posę, która się podoba, grają tyle razy z rzędu co dzień, ile publiczność przychodzi. Ale każdą, co upada, rzucają tego wieczora do kosza, a nazajutrz grają nową. W dzień 24 stycznia, jako w osmdziesiątą rocznicę urodzin sędziwego poety i dramaturga Karola Holtei, w całych Niemczech przedstawiano jego utwory, a więc na wszystkich wiedeńskich scenach. Staruszek schorowany zamieszkał w Wrocławiu, w domu braci miłosiernych. W dniu tym z rana składał mu życzenia przeor konwentu, a zakonnicy uwieńczyli drzwi do jego mieszkania prowadzące kwiatami; potem przybył telegram od króla pruskiego, z którego szkatuły poeta małeńką pensyjkę pobiera i tysiące telegramów, listów, wieńców, bukietów i t. d. Od nas, oprócz współczucia dla każdego wyższego talentu, należy się jeszcze Holtei'owi słodkie wspomnienie, jako autorowi sztuki *Der alte Feldherr*.

Karnawał w Wiedniu przechodzi tymczasem skromnie. Naturalnie, jak w każdym wielkiem mieście, tu i owdzie ludzie tańczą — bo tańcować muszą, choćby tylko dla sprawdzenia statystycznego prawa, że tylu a tylu ludzi na świecie tańczy. Mianowicie u góry, w sferach ministeryalnych i u dołu w sferach ludowych prędzej się z zabawą lub jej pozorem spotkać można. Średnie klasy zdobyły się dotąd na jeden wielki bal publiczny w Operze, który się lepiej jeszcze powiódł niż pierwszy. Przepelnione są za to drobne kasyna, owe bale, gdzie to tancerka, spostrzegłszy prezentującego się jej tancerza bez rękawiczek, mówi z obawą: „Pan nie masz rękawiczek?” — „To nic nie szkodzi — odpowiada z zimną krwią tancerz — umyję ręce potem”. — Licznie są uczęszczane przez śmietankę towarzyszką bale ministeryalne, noszące na sobie cechę półkoncertów. Między temi jednym z pierwszych był wieczór u ministra Dr. Ziemiałkowskiego; zgromadzonych *bawit* p. Frieman i Śmietanski. Już to wogóle p. Frieman w kołach polsko-wiedeńskich cieszy się rzeczywistym uznaniem. Bardziej ochoczym obiecuje być bal polski na korzyść studentów, corocznie w połowie lutego mający miejsce, a któremu tradycja nadała tytuł „der grosse Mazur”. Stoi on pod protektoratem rodziny cesarskiej a przewodnictwem ks. Ponińskiego. Kompozytorowie ks. Montenuovo i Tymolski napisali w tym celu polonezy i tańce, a mówią i o wielu innych niespodziankach.

Tymczasem zaś Wiedniowi przybywa nowa, niezbyt często tu trafiająca się rozrywka... druga edycja kongresu wiedeńskiego... jeżeli tylko kongresu!

KSIĄDZ MICHELAINÉ.

przez
EMILĄ ZOLE.

W każdy piątek ksiądz Michelaine spowiada wielkie damy w kaplicy Dominikanów, eleganckim kościele, znajdującym się na jednej z uliczek przedmieścia Saint-Germain. Kościołek ten przypomina wielki salon, urządzone z komfortem, wyperfumowany, gdzie światło łagodnie, przechodząc przez kolorowe szyby. Damy uważają za oznakę dobrego tonu przychodzić tu się spowiadać w dali od tłumu grzeszników, zbierających się w ich parafialnym kościele. W ten sposób jak gdyby oddzielają się od tłumu i zdaje im się, że Pan Bóg przygotowuje dla nich wyszukane przebaczenie. Sądzą, że mają swój własny domowy konfesyonał.

Ksiądz Michelaine jest to wysoki, przystojny mężczyzna, z czarnymi włosami, z białą cerą, który w obecnej chwili furore robi w wielkim świecie. Zawdzięcza on swe powodzenie przedewszystkiem wielkiemu taktowi w obejściu. Syn bogatego fabrykanta porcelany i kryształu na ulicy Du-Bac, urodzony w tejże części miasta, liczy teraz między swemi owieczkami hrabiny i markizy, matkom których ojciec jego dostarczał porcelany. Lecz to go nie wprowadziło w kłopot; dostrzegł on różnicę między szacunkiem osoby niżej postawionej i silną powagą księdza, która nadaje jego obejściu niezwykłą oryginalność. Najarystokratyczniejsze domy są nim zachwycone. Wdzięczny on im za to i z uśmiechniętą twarzą zręcznego człowieka wykręca się z najdrażliwszych położeń.

O nauce jego nic nie wiadomo. Był, jak się zdaje, dobrze widziany w seminaryum, gdyż miał stryja biskupa. Ograniczał się więc tylko na dobrem sprawowaniu. W rzeczywistości niezły to człowiek: postanowił sobie używać życia i stosować się do ludzi, by żyć bez kłopotów. Jeszcze dzieckiem będąc, marzył o złożonych salonach, które widywał tylko przez na pół odemknięte drzwi i nie mógł wymyślić lepszego środka dostania się do nich, jak odziać sutannę. Ambioya jego, z początku dość umiarkowana, polega na tem, aby stanąć po nad swym mieszczańskim stanem i żyć w wyższym towarzystwie, zadawalającym jego upodobanie w delikatnych obiadach, prześliznych i gustownie ubranych kobietach, słowem we wszystkim, co piękne. Religiję uważał za kwiat wyższej cywilizacji, piękną gazetę, która powinna okrywać ludzkie zdroźności. Według jego mniemania, grzeszne towarzystwo nie może obejść się bez religii.

W ten piątek ksiądz Michelaine oczekuje u konfesyonału młodej hrabiny de Marisy, prześliznej dwudziesto-dwu letniej blondynki, o piękności której gazety nawet głośzą. Kieruje ona modą, bierze udział we wszystkich uroczystościach, konie jej znane w lasku bulońskim. Dwa lata już zamężna, a ksiądz Michelaine stał się przyjacielem jej domu, zabawiwszy dwa tygodnie w zamku Plessy-Rouge w Normandji, należącym do jej męża. W istocie, ksiądz Michelaine tak jest przystojnym, z takim wdziękiem nosi sutannę, że może być ozdobą każdego salonu.

Hrabina na kolanach, oczekuje swej kolei. Prześlizny podbródek wsparła o złożone rączki i rozmyśla, wpatrując się w różowy promień, przechodzący przez zafarbowane szkło. Prędko przebrała w myśli swe grzechy; wie tylko o jedym wielkim i rozmyśla, w jakich by go słowach księdzu wypowiedzieć. Na chwilę przechodzi jej przez

głowę myśl pokrycia grzechu tego mileżniem, gdyż dość trudno się do niego przyznać, lecz właśnie ta trudność ją nęci. Wielką ozięć chęć opowiedzieć wysokiemu, przystojnemu spowiednikowi, jak to ona — niestety! — przeniewierzyła się małżeńskiemu obowiązkowi dla markiza de Valereuse, dalekiego jej kuzyna, którego kochała jeszcze przed ślubem.

Nareszcie przychodzi na nią kolej. Hrabina powstaje i zbliża się do konfesyonału z ledwie widocznym uśmiechem, zdobiącym zachwycająco wyraz głębokiej skruchy, który uważała za stosowne nadać swej twarzyczce. Już wymyśliła zapewne, w jakich wyrażeniach łatwiej jej będzie zrobić wyznanie. Przykłęka powoli i przepędza pół godziny u kratki. Słychać tylko jednostajny szept, ani jednego głośnego słowa; cały namiętny dramat wysnuwa się w półcieniu między tą szepejącą dwudziestodwuletnią kobietą i trzydziestoletnim księdzem, który jej słucha. Gdy następnie, z pochyloną głową opuszcza konfesyonał, na różowej jej twarzyczce nic nie można wyczytać, tylko nad ustami wciąż jeszcze igra słaby, nieokreślony uśmiech, od którego na policzkach utworzyły się dwa dołeczki.

W poniedziałki mężczyźni przychodzą do kaplicy Dominikanów spowiadać się u księdza Michelaine'a. W następny poniedziałek markiz Valereuse oczekuje swej kolei na tem samym miejscu, na którym w piątek klęczała hrabina. Markiz — niski, chudy młodzieniec, wygląda cierpiąco, ale pomimo to przystojny. Zdołał się już wsławić burzliwie przepędną młodością; przyjmuje udział w wyścigach, miał pojedynki, o którym mówiono przez trzy dni. Jednak, przy rozpustnym swym życiu nigdy nie przestawał wypełniać obrządków kościoła, w tem przekonaniu, że religijność należy do obowiązków jego rodu. Przeniewierstwo kościołowi wydaje mu się czemś mieszczchańskim i tak daleki jest od myśli zaniedbania obowiązków gorliwego katolika, jak od myśli porzucenia tytułu markiza. Spowiada się dwa razy na miesiąc, w wielkie święta przyjmuje komunię, słowem — robi wszystko, co potrzeba, by nie sprzeciwić się tradycjom rodu. Wszystko to zresztą, niema żadnego znaczenia.

Kłęczy on i podobnie jak hrabina rozmyśla, śledząc za różowym promieniem, padającym przez zabarwione szkło. Pyta siebie: czy rozsądnem będzie przyznać się księdzu do związku z hrabiną de Marisy. Bez wątpienia tajemnica spowiedzi jest bezwarunkową, lecz ksiądz może pomimo woli spojrzaniem zdradzić ich tajemnicę mężowi; przy tem zawsze nieprzyjemnie jest drugiemu mężczyźnie powierzać imię swej kochanki. Markiz decyduje się więc na kompromis; przyzna się do grzechu, lecz nie nazwie imienia, i uspokojony tem postanowieniem pośpiesznie pada na kolana u konfesyonału.

Spowiedź mężczyźni bywa krótszą od spowiedzi kobiet. Nie jest im tak przyjemnie opowiadać o swych grzechach i odkrywać tajniki swego serca. W ciągu pięciu minut markiz zrzucił brzemień swych grzechów, lecz przy odejściu od konfesyonału wydaje się rozdrażnionym. Ksiądz nie dał mu skończyć i powiedział, iż źle bardzo z jego strony nadużywać zaufania uczciwego człowieka, w domu którego jest przyjmowanym jako dawny przyjaciel. Wreszcie wymienił hrabiego i dał poznać, że cała historia jest mu dokładnie wiadomą. Niech djabli porwą kobiety! Nie potrafią się one spowiadać, nie wypowiedziawszy wszystkiego do końca i nie ubarwiwszy prawdy. Widocznie hrabina wszystko wygadała. I markiz jeszcze przez minutę klęczy w kościele zaniepokojony i zapytuje się, czy to nie doprowadzi do zerwania z hrabiną, którą on ubóstwia. Jednak ostatecznie uspokaja się myślą, iż

ksiądz Michelaine za nadto zręczny człowiek, aby się wtrącać w nieswoje rzeczy.

We wtorek ksiądz obiaduje u hr. de Marisy; są to przyjacielskie obiady, na które zaprasza się tylko kilku przyjaciół. Na drugi dzień, a więc po spowiedzi młodego markiza, ksiądz Michelaine siedzi w malutkim salonie pałacu de Marisy, w towarzystwie hrabiny i dwóch starych dam. Markiz, jak gdyby naumyślnie, także znajduje się w liczbie zaproszonych na ten dzień. Wchodzi on z uśmiechem, wita się z hrabiną i podaje rękę księdzu ze swobodą człowieka, którego najdrażliwsze położenie nie jest w stanie zakłopotać. Biję siódma godzina, a hrabiego jeszcze niema. Hrabina, by go wytłómaczyć, mówi o jego ważnych i licznych zajęciach. Wszyscy potakują, chociaż dokładnie wiedzą, że hrabia niema żadnych zajęć, prócz tych, które sam na siebie nakłada w towarzystwie najpiękniejszych aktorek bulwarowych teatrów. Człowiek rzadkiego niedołęstwa, hrabia nawet przez przyjaciół swych uważany jest za niezdolnego do politycznej działalności. Trwoni ogromny majątek najgłupiej w świecie, uganiając się za kokotkami w brylantach i znajdując szczególniej ponętami piękne kobiety, ubrane jak księżne a ordynarne jak przekupki. Opowiadają o niemożliwych wybrykach, którymi on dopuszczał się dla jednej dziewczyny, zwerbowanej z ulicy, która biła go i wyganiała za drzwi w nocy, by przyjąć u siebie jego lokaja. Ma on lat pięćdziesiąt; twarz jego biała i zniszczona, wejrzenie ponure, głowa łysa, nadające mu wygląd męża stanu, który przedwczesnie posiwił pod ciężarem spraw państwa.

— Hrabiego zapewne zatrzymała ministerialna kryzys, którą obecnie przeżywamy — powiada ksiądz Michelaine. Zapewne chciano się go poradzić.

— Pewnie, bąknął markiz z lekkim uśmiechem, spoglądając na hrabinę.

A hrabina bawi się flakonikiem i wcale nie jest, jak się zdaje, zakłopotana. Ksiądz chciał tylko pokazać, iż jest człowiekiem dobrze wychowanym, gdyż wie dokładnie, gdzie się hrabia zasiedlał. Zna on nawet małą Biankę z Bouffes, której de Marisy niedawno dom podarował. Owa „Bianka” urodziła się w Bordeaux i przyjęła tylko włoskie imię. Zrzuca hrabiego w jakie trzy miesiące, jeśli przed tem nie wypędzi. Ksiądz widział ją raz w „lasku”. Śliczne stworzenie, nie ma co mówić! I ksiądz Michelaine, myśląc o niej, głośno powtarza:

— Niewątpliwie, hrabia w ministerium.

Wreszcie zjawia się de Marisy. Przeprószył towarzystwo, skarżył się na zajęcia, poczem wszyscy przeszli do jadalnego pokoju. Po prawej ręce hrabiny siedzi markiz, po lewej ksiądz Michelaine. Hrabia usadowił się naprzeciw między dwiema starszyskami. Prócz nich jeszcze czterech zaproszonych, wszystkich dziesięciu. Obiad doskonały. Usługa szybka i milcząca, jak najlepszy ton wymaga. Goście za stołem rozmawiają szeptem. Lecz oto stary jakiś jegomość przy drugiej potrawie głośno zapytuje hrabiego:

— No, cóż? Jakież też będziemy mieli ministerium?

Hrabia, jeszcze bleśszy niż zwykle, czemś jakby zaniepokojony, roztargniony, nie słyszy pytania, które gość jego zmuszony jest powtórzyć. Nakoniec przebąkiwa:

— Ach! jeszcze niewiadomo! Stan rzeczy krytyczny, bardzo, bardzo krytyczny... Nigdyśmy nie przeżywali tak krytycznego momentu.

Obie starszyski widocznie przerażone — kilka głosów wykrzykuje:

— O! w samej rzeczy!

Ponieważ wszyscy oczekują, co hrabia powie, wypada mu więc wypowiedzieć

kilka frazesów, co też i wypełnia z ogromnymi trudnościami:

— Tak, wszystkiego można się obawiać... Nastąpił rozstrój... No, zresztą może się to da jakoś załagodzić!

A tymczasem ksiądz Michelaine, spoglądając na niego, myśli sobie: pewnie go mała Bianka wygnała. Zapewne o tym rozstroju on mówi. W tejże samej chwili słyszy, jak hrabina i markiz szeptem przemawiają słów kilka:

— Dlaczegoś wczoraj nie przyjechała?

— Nie mogłam oddalić się z domu!

— Czekałam na ciebie cały... Ach!

Loro! ty mnie już nie kochasz.

— Ciszej!... Jutro będę tam o drugiej.

Hrabina zauważyła, że ksiądz ich podsłuchuje, lecz to ją bynajmniej nie kłopotuje. Wszak to powiernik ich tajemnicy — powinien być pobłażliwym na słabości ludzkie. Potem nadzwyczaj uprzejmie przemawia:

— Wszak ksiądz proboszcz lubi zwierzyne... Janie, podaj jeszcze zwierzyny księdzu proboszczowi.

Ksiądz postępuje bardzo taktownie. Ma on zamiar, co prawda, palnąć ostrą nauczkę hrabinie u konfesyonału, gdyż na to ona zasługuje. Lecz tutaj, w jadalnym pokoju, w jej domu jest tylko gościem i za nadto dobrze wychowanym człowiekiem, by stroić poważną minę. Obiad idzie swoim porządkiem: ksiądz słyszy obok siebie szept wiarołomnej żony i widzi przed sobą smutną fizygnomię hrabiego, pod oczami którego dopiero co zauważył dwa zadraśnięcia, jak gdyby od kocich pazurów. Wina doskonałe, w jadalnym pokoju czuć świeży zapach owoców, obiad kończy się wspaniale.

— W środę, wszak prawda, ksiądz proboszcz będzie miał kazanie w kościele Św. Klotyldy? — zapytuje podczas deseru jedna ze starszyszek.

— Tak, łaskawa pani... Będę miał kazanie na korzyść dobroczynnej instytucji Św. Maryi.

I wszyscy rozprawiają o tej instytucji, celem której jest dawać przytułek sierotom, by je od zguby zachować. Hrabina jest jedną z opiekunek; imię hrabiego znajduje się na liście założycieli. Wszyscy goście wynoszą pod niebiosy zasługi instytucji.

— Robimy, co możemy, powiada pani de Marisy. Ileż to biednych dziewcząt ginie tylko dla tego, że im brak religijnego wychowania. Jeśli tylko kobieta poznała Boga i umie się modlić, jest już zabezpieczoną od wszelkich pokus i nie wykroczy przeciw swym obowiązkowi... O! to wielka dla nas radość, że możemy zbawić od występku ofiary, tak godne zajęcia się niemi!

Markiz z zapalem potwierdza słowa hrabiny. Bez religii moralność jest niemożliwą. Kilka dni temu odwiedził on wychowawnicę ochrony św. Maryi. Zauważył tam malutką blondynkę, prawdziwego anioła, z wielkimi modremi oczami, niebiańskiej łagodności. Hrabia przysłuchuje się temu opisowi; mętny wzrok jego ożywia się, a obwisła dolna warga pomimo woli nastroja się do uśmiechu. Potem nagle pali on następującą, głośną tyradę:

— W tych dniach mówiłem dwom senatorom, przyjaciółom moim: podnieście religię, przymuście naród, by ugiął kolano w kościołach, jeśli chcecie podnieść moralny poziom mas... Zgodzili się ze mną. Mają zamiar wnieść prawo o zachowywaniu dni świątecznych... W smutnym czasie, który obecnie przeżywamy, trzeba koniecznie, by wszyscy katolicy surowo przestrzegali obrządków kościoła dla przykładu. Droga wiary ocalimy społeczeństwo od bezceństw, w których jest ono pogrążone... Będziemy dawali przykład, panowie, będziemy dawali przykład...

I zmęczony wysiłkiem, którego ta mała mównica potrzebowała, hrabia bierze kape-

